

Biblioteka Śląska

25464

II

Pracownia Śląska

Polnische Texte,

für den Gebrauch an deutschen Schulen zusammen-
gestellt vom FRIEDRICH BOCK, Direktor der
Staatsrealschule in Bielitz.



Preis 2 K. 10 H.



Im Selbstverlage.
BIELITZ 1918.

25464

II

X-57420
25464 II



71



X-57420
25464 II

25464



71

Wydz. Ośw. Publ. Wojen. Pl. 1934

Anegdoty i fraszki.

1. Mówi pan do chłopca: Przynieś szklanekę wody dla tego gościa! — Chłopiec wchodzi, trzymając szklanekę wody w rękę. — Pan na niego: Wróć się, hultaju, przynieś przecie na talerzu! — Chłopiec się wrócił, wylał wodę na talerz i niosąc mówił do siebie: Ciekaw jestem, jak ten gość tę wodę z talerza wypije.

2. Przyszedł jeden do restauracyi, lecz bez pieniędzy. Pyta się: Co jest do jedzenia? Mówią, że jest kapłon z sosem. — Co kosztuje kapłon: — Cztery korony. — A sos wiele? — Nic nie kosztuje. — Proszę sosu.

3. Na co przewracasz pończochy? mówi pan do chłopca. — Bo z tamtej strony dziury się porobiły, odpowiada, otóż dlatego przewracam na drugą stronę, żeby ich znać nie było.

4. Dał pan chłopcu jeden szóstak na ocet a drugi na oliwę. W godzinę wraca chłopiec i nic nie przynosi. — Czegoż nie kupiłeś tego, com ci kazał? zapytał się jegomość. — Bo mi się pomieszały szóstaki, odpowiedział chłopiec, i nie wiem teraz, który na ocet a który na oliwę.

5. Pewien oficer, chcąc wstać wcześniej na rewie, polecił słuzącemu, ażeby go punktualnie o trzeciej godzinie obudził, i dla pewności dał mu swój zegarek, aby na niego spoglądał. Oficer położył się o pół do dziewiątej; ledwie zaś zasnął, przychodzi ze świecą słuzący, który się na zegarku nie znał, i budzi pana, mówiąc: Panie! panie! niechno pan zobaczy, czy już jest trzecia? czy ja mam pana obudzić, czy nie?

6. Tylko mnie pani nie zjedz — rzekł do poziewającej panienki pewien jegomość, gdy się oboje znajdowali na koncercie. — Nie bój się pan! odpowiedziała, bo ja jestem żydówką, a nam izraelitom nie wszystko jeść wolno.

7. I ślepy może sądzić o piękności. Tak pewien ciemny w towarzystwie wskazał ręką: Ta panienka ma piękne zęby. — W istocie są piękne, rzekł sąsiad, ale skądże pan możesz wiedzieć o tem? Bo już od godziny słyszę, że się śmieje.

8. W karczmie deszcz lał na konie podróżnego. Ten mówi do arendarza: Żydzie! czemu nie dasz naprawić dachu? — No, jakże naprawić, kiedy deszcz pada? odzywa się żyd. A podróżny dalej: To go napraw, jak będzie pogoda. — A żyd na to: Na cóż dach naprawić, kiedy będzie pogoda? wtenczas nie potrzeba.

9. Do pewnego jegomości przyszedł chłopiec od krawca i rzekł: Proszę pana na piwo. — Jegomość, który nic mu dać nie chciał, ofuknął go: Co! ty, hultaju, śmiesz mię prosić na piwo?

A z kimże to masz do czynienia? Jabym z tobą szedł na piwo? Proś sobie takich, jakiś sam — i wypchnął go za drzwi.

10. Bartek! a co robi Maciek? — Nic nie robi, leży. — A ty co robisz? — Ja mu pomagam.

11. Osobliwsza rzecz książki: ludzie co je drukują, nie rozumieją ich; ci, którzy oprawiają, także nie rozumieją; ci, co sprzedają, również nie rozumieją; bywa, że i ci, co czytają, także nie rozumieją — a nawet i owi, co je piszą.

12. Francuzi zawsze są grzeczni, dowodzi tego następujące zdarzenie. Młody kat wieszal po raz pierwszy złodzieja, a że jako nowicusz nie wiedział dobrze, jak sobie ma prędko i zgrabnie postąpić, rzekł do złodzieja: Wybacz, panie, że cię tak nudzę, bo po raz pierwszy dopiero wieszam. — Na to mu złodziej odpowie: Wybacz, panie, że ci dopomódz nie mogę, bo mię dopiero pierwszy raz wieszają.

13. Pan podstoli, który się po polsku nosił, kupił bardzo pięknej materyi i chciał mieć z niej żupan. Kazał przywołać krawca, lecz ten, obejrzawszy materję, powiedział, że nie wystarczy, i poszedł. — Kazał zawołać drugiego; ten wziął, zrobił i odniósł. Po jakimś czasie, wyszedłszy na przechadzkę, pan podstoli spotyka krawca z córeczką, ubraną w sukienkę z tej samej materyi, co jego żupan. Zdziwiony pyta się, jakim sposobem to się stać mogło, że tamten krawiec oświadczył, iż nie wystarczy, a waćpan nie tylko mnie, ale i swoją córeczkę wystroił? — Bo on ma większą córkę niż ja, rzekł krawiec, i dlatego powiedział, że mu nie wystarczy.

14. Wolno robić kalemby dla rozrywki, ale nie wolno na nie oszukiwać. Jeden ogłosił, że pójdzie po linie na paradyz; wszyscy myśleli, że po wyteżonym sznurze przemykać się będzie. Ale on zjadł lina i dopiero po linie poszedł na paradyz zwyczajnymi schodami. Niema co mówić.

15. Czy jest pan w domu? — Niema, wyszedł. — A syn jego? — Także wyszedł. — To poczekam, a tymczasem przy piecu trochę się zagrzeję. — I ciepło już wyszło. — Tak zimnego przyjęcia nigdy się nie spodziewałem, powiedział i poszedł.

16. Trzech podróżnych przyszło do karczmy, żądając noclegu. Jedno tam tylko było łóżko, każdy chciał na niem spocząć. Powstała kłótnia i wreszcie sprawa wytoczyła się przed gospodarza, który przyrzekł sprawiedliwie ich rozsądzić. Naprzód więc zapytał jednego: Kto pan jesteś i jakie są czynności jego? — Jestem rezerwistą, odpowiedział, leżałem ośm miesięcy w zakładzie w Gdańsku. — Oho, kiedyś pan ośm miesięcy leżał, to miałeś czas wypocząć. A pan? — Ja jestem sekretarzem sądowym, który przez trzy lata w sądach zasiadałem. — Toś pan jeszcze bardziej wypoczął, rzekł gospodarz. A waszmość? Zapytał ostatniego. — Ja jestem kwestarz, który przeszło lat dziesięć chodzę zbierać jałmużnę

na szpital. — Co? waszmość dziesięć lat chodzisz? to pan najbardziej potrzebujesz spoczynku. Weź pan łóżko.

Rozmowy.

I. Gość: Kielner!

Kielner: Służę panu.

G.: Co dziś na obiad?

K.: Na zupeł rozół z francuskimi kluseczkami albo zupa pomidorowa z ryżem, na pierwsze mięso sztuka mięsa z ogórkiem kwaszonym albo parówki z chrzanem, na piecyste pieczeń cielęca albo zrazy nelsonskie.

G.: Proszę najpierw podać sztukę mięsa i mały kieliszek wódki.

K.: Jaką wódkę pan każe?

G.: Proszę o angielską gorzką.

K.: Oto jest.

G.: A teraz proszę o zupeł pomidorową.

K.: W tej chwili. A co pan każe na piecyste?

G.: Zjem cielęcinę.

K.: A z czym, proszę pana?

G.: Co macie do piecystego?

K.: Są kartofle, kapusta, kasza gryczana i jarzynka.

G.: Proszę o jarzynkę a zarazem o szklankę piwa.

K.: Jaką leguminę pan dobrodziej każe?

G.: A co jest.

K.: Ciastka deserowe i legumina z kaszki kartoflanej.

G.: Proszę o ciastko, a potem o czarną kawę z arakiem czerwonym.

K.: Dobrze, proszę pana.

G.: Ile się należy?

K.: Obiad czterdzieści kopiejek, wódka pięć, piwo pięć, kawa dziesięć i arak pięć kopiejek, razem sześćdziesiąt pięć kopiejek.

G.: Siedemdziesiąt pięć kopiejek, z tego dziesięć kopiejek za usługę.

K.: Ślicznie dziękuję.

II. A.: Kto jest ta dama, której się kłaniałeś?

B.: Pani Szubertowa.

A.: Która Szubertowa?

B.: Janowa.

A.: Ale ja znam dwóch Janów Szubertów, dyrektora i krawca. Czy to krawcowa.

B.: Pan chyba żartujesz; to dyrektorowa.

A.: Ach Szubertowa z Rychlinskih?

B.: Nie, z Rychlowskich.

A.: A jak jej na imię?

B.: Walerya. Cóż ona Pana tak Interesuje?

A.: Znałem ją dzieckiem, będzie temu lat dwadzieścia.

III. A.: Podobno pan porzucił swoją posadę w banku?

B.: Właściwie jej nie porzuciłem, lecz zostałem z niej wyrzucony.

A.: Jakto? Dlaczego?

B.: Rzecz bardzo prosta. Pan dyrektor potrzebował miejsca dla protegowanego swoich kuzynek i musiał się mię pozbyć. Wszak o powód nie trudno. Kto chce psa uderzyć, z łatwością kij znajdzie.

A.: Więc jak to było?

B.: Codziennie okazywał mi swoje niezadowolenie, aż wreszcie znicięrpwiony powiedziałem mu kilka słów gorzkiej prawdy. I nastąpił wybuch i dymisya.

A.: Co pan teraz zamierzasz robić?

B.: Założyłem sklep spożywczo-dystrybucyjny, którym się zajmuje żona z córkami, a ja szukam nowej posady.

A.: A gdzie jest pański sklep?

B.: Przy ulicy Szpitalnej pod numerem dwudziestym ósmym.

A.: To niedaleko odemnie.

B.: Może pan zechce swoje zakupy robić u mnie.

A.: Bardzo chętnie. Co pan sprzedaje oprócz wyrobów tytoniowych?

B.: Pieczywo, leguminy i produkta wiejskie, zwłaszcza nabiał i jaja, oraz grzyby suszone i marynowane. Trzymam także wyborowe wędliny litewskie i inne wiejskie z własnych dostaw.

A.: A ma pan owoce?

B.: W sezonie tak, w zimie tylko pomarańcze i cytryny, oraz owoce suszone.

A.: A jak państwu idzie interes?

B.: Mimo ciężkich czasów, tymczasem nieźle, gdyż staram się przede wszystkim o wyborowy towar, ceny umiarkowane i skrupulatną czystość.

A.: Sprzedaje pan na kredyt?

B.: W ogóle nie, gdyż mój kapitał jest bardzo szczupły, ale osobom znajomym i pewnym chętnie kredytuję na miesiąc.

IV. A.: Dzień dobry panu, panie Rogowski, już dawno pana nie widziałem.

B.: Nic dziwnego, gdyż byłem nieobecny w Warszawie.

A.: A gdzie pan był?

B.: Byłem trzy tygodnie w mieście M.

A.: Poco pan tam jeździł?

B.: Mam tam krewnych, których chciałem wreszcie raz odwiedzić.

A.: Jak się pan tam zabawiał?

B.: Jak zwykle na prowincyi: ciągle granie w karty, wieczorki z plotkami i flirt.

A.: A szerszego życia społecznego i pracy społecznej tam niema?

B.: Bardzo mało; wszystkiemu przeszkadza rywalizacja pani doktorowej i pani aptekarzowej.

A.: Ale coś przecie się robi?

B.: Jest od czasu do czasu teatr amatorski na straż ogninwą albo balik na szpital miejski.

A.: I to wszystko?

B.: Niestety, wszystko! Chyba jeszcze dwie czytelnie, z których mało kto korzysta.

A.: Biedna to nasza prowincya!

B.: O, bardzo biedna.

A.: Ale czy jest jaki ruch przemysłowy i handlowy?

B.: Jedna fabryczka krochmalu, dwadzieścia kilka ladajakich warsztatów rzemieślniczych i prawie tyleż szynków, jeden skład maszyn i narzędzi rolniczych, oraz nasion, dwie spółki spożywcze i dwa tuziny sklepików, przeważnie żydowskich, trzy zajazdy, zwane szumnie hotelami — i to wszystko.

A.: Ale są przecież jakieś zabytki i pamiątki historyczne?

B.: Jest piękny kościół ze starożytną wieżą i nagrobkami kilku biskupów; jest ruina zamku i jedna ulica całkiem średnio-wieczna, ze starożytnymi i ciekawymi budynkami.

A.: A pozatem?

B.: Pozatem chaty i rudery, oraz kilkanaście domów nowych, zbudowanych w stylu koszarowym.

V. A.: Czy mam przyjemność mówić z panem Gawrońskim?

B.: Do usług. Czym mogę panu służyć?

A.: Jestem Wituski z Poznania, mam do pana list od doktora Madejskiego.

B.: Pokaż pan, jestem ciekawy, co mój przyjaciel mi pisze.

A.: Proszę pana.

B.: Madejski pisze mi, że pan pierwszy raz przyjeżdża do Warszawy, i prosi mię, żebym panu pokazał miasto.

A.: Tak, proszę pana.

B.: Co pan chce zobaczyć: Warszawę czy Warszawkę? Przyznam się panu, że znam tylko pierwszą.

A.: Nie rozumiem pana.

B.: Warszawa — to miasto poważne, miasto ciężkiej pracy, dźwigające na swych barkach świetną przeszłość, smutną teraźniejszość i nadzieję lepszej przyszłości; Warszawka — to miasto wesołe, które się bawi, szaleje i flirtuje. Które z tych miast pragnie pan zobaczyć?

A.: Panie kochany, pokaż mi Warszawę!

B.: Dobrze; co pan przedewszystkiem chce zobaczyć?

A.: Zabytki przeszłości i wszystko to, co stanowi naszą dumę.

B.: Więc pokażę panu naprzód Stare Miasto z jego pamiątkami, a potem inne zabytki, godne widzenia. Nowe gmachy monumentalne pozostawimy na koniec.

A.: Będę panu wdzięczny. Oprócz tego chciałbym też poznać teatry tutejsze.

B.: Naturalnie. Po wzniosłych wrażeniach dnia dobrze się trochę rozerwać wieczorem. Ale do kabaretów i tinglów pana nie poprowadzę.

A.: O, tego bynajmniej nie pragnę.

B.: Więc dobrze. Jak długo pan zamierza zabawić w Warszawie?

A.: Dwa tygodnie.

B.: Ależ to huk czasu. Ułożę szczegółowy plan, według którego zwiedzać będziemy Warszawę.

A.: Będę panu bardzo zobowiązany.

B.: Uczynię to przedewszystkim dla swego przyjaciela; a pan wiesz: przyjaciele moich przyjaciół są moimi przyjaciółmi.

VI. Portyer: Moje uszanowanie wielmożnemu panu!

Gość: Dzień dobry! A macie wolne numery?

P.: A jakże, mamy. Na którym piętrze wielmożny pan sobie życzy?

G.: Na pierwszym, pokój może być nie wielkim.

P.: Z widokiem na ulicę czy na dziedziniec?

G.: Na ulicę.

P.: A to będzie numer szesnasty.

G.: A jaka cena?

P.: Rubel kopiejek dwadzieścia na dobę.

G.: To niech pan każe zanieść moje rzeczy i zaprowadzić mię.

P.: Numerowy, prowadź pana!

Numerowy. Służę wielmożnemu panu.

G.: Więc to ten pokój? Trochę mały i brudny za tę cenę. Ale niech już będzie.

N.: Czy pan każe napalić w piecu?

G.: Na noc nie potrzeba; ale proszę to zrobić jutro raniutko o godzinie szóstej.

N.: Ależ pana obudzą.

G.: To nic; ja i tak rano wstaję.

N.: Czy wielmożny pan jeszcze dziś zjeździe do restauracji?

G.: Nie, jestem znużony. Proszę mi tu przynieść kolację.

N.: A co pan każe?

G.: Befszyk angielski i butelkę piwa ryskiego.

N.: A herbata?

G.: Herbata na noc nie pijam; ale proszę mi nalać świeżej wody do karafki.

N.: Za chwileczkę. A co przynieść jutro rano na śniadanie?

G.: Dwie szklanki herbaty, dwie bułki z masłem i parę plasterków szynki surowej.

N.: Wszystko będzie podług rozkazu wielmożnego pana.

G.: Proszę chwileczkę poczekać. A pościel w łóżku jest czysta?

N.: Przed godziną pokojówka ją świeżo powlekła, kiedy poprzedni gość wyjechał. Ale, ale . . . czy pan dobrodziej u nas długo zabawi?

G.: Trzy albo cztery dni. Dlaczego się pytasz?

N.: Bo w takim razie paszport potrzebny. U nas przecie bez paszportu nikogo na noc przyjmować nie wolno, choćby rodzinnego ojca.

G.: Oto mój paszport.

N.: Oddam go wielmożnemu panu przed wyjazdem, z poświadczeniem władzy policyjnej.

Staś — Władzio, koledzy.

Staś.: Serwus! Jak się masz?

Władzio: Nie tak dobrze, jak ty.

St.: Dlaczegoż to?

W.: Ty sobie możesz spacerować, jak ja widzę, a ja . . .

St.: A ty? Ty masz znowu coś do roboty, naturalnie robić zadania, porządkować książki, rośliny zasuszać i już nie wiem co.

W.: Ty się śmiesz ze mnie, a ja rzeczywiście mam mnóstwo do roboty: słówka łacińskie, kilka zadań rachunkowych, zadane z historii i . . .

St.: Ależ ty jesteś, za pozwoleniem, osioł. Wybacz, ale zawsze, ile razy cię tylko spotkać, masz coś do roboty. „Nie mam czasu“, to jest twoja stała odpowiedź. Niezdara jesteś i koniec. Chłopcy, jak się patrzy, mają zawsze czas. Patrz na mnie, albo na Franka Karpińskiego, albo na Bolka WYROBKĘ. Z tymi można się zawsze bawić, a przecież są to także całkiem dobrzy uczniowie.

W.: Ależ, na miły Bóg, cóż mam robić? Muszę przecież . . .

St.: Naturalnie, ty musisz . . . ale, czy to musi być teraz? Czy nie masz dosyć czasu dla tych kilku zadań po kolacji?

W.: No tak, ale . . . Zresztą gdzie iść?

St.: Nigdzie, stoję tu i czekałem na ciebie. Chodź do mnie! Robimy w ogrodzie altanę.

W.: Któż to, robimy? Jest tam jeszcze kto więcej?

St.: Teraz jeszcze nie, ale Janek Świtalski przyjdzie zaraz, a my możemy zaczynać albo możemy się bawić, dopóki on nie przyjdzie.

W.: Z czego ma być altana? Z desek?

St.: Ależ nie! Wiesz, to nie będzie na prawdę altana, tylko miejsce, gdzie będzie można siedzieć. Weźmiemy kilka palików,

wbijemy je do ziemi, potem weźmiemy gałęzi, spleciemy i zwiążemy wszystko sznurkiem i na tem koniec. No, więc jak, chcesz pójść?

W.: Zaczekaj tu chwileczkę, przyniosę sobie tylko kromeczkę chleba z masłem i w tej chwili jestem z powrotem.

St.: To mi się podoba, mój kochany. Teraz jesteś dzielным chłopcem.

W.: Czy jednak mój tato to samoby powiedział?

Smutny wieczór.

Ojciec: A gdzie to byłeś tak długo?

Syn Staś: Byłem u Władzia. Czy to już tak późno?

O.: To zależy od tego, jak to kto pojmuje. A cóż robiłeś u Władzia?

S.: Bawiliśmy się, tatusiu.

O.: Dobrze bawiliście się?

S.: Nie uwierzy tatuś, znakomicie! Najpierw strzelaliśmy do celu.

Ojciec: Co? Przecież chyba nie ze strzelby albo pistoletu!

S.: Ależ nie, tylko z wiatrówki.

O.: No, ale przecież nie strzelaliście bez przerwy przez całe trzy godziny?

S.: Naturalnie że nie. Potem urządzaliśmy altanę. Mówię tatusiowi, co za altanka! Jak cacko! Wie tatuś, z kołków i gałęzi jodłowych. A jest tak duża, że można w niej całkiem prosto stanąć, a pięcioro dzieci może się w niej wygodnie pomieścić. A tak jest gęsto spleciona, że deszcz nie nakapie.

O.: A skądże wiesz o tem, kiedy przecież deszcz nie padał?

S.: No, ja myślę, że nie nakapie, gdyby padał. A z tym Kruczkim! Wie tatuś, to jest taki mały piesek od Grabowskich. Mieliśmy tyle uciechy! Ciągłe . . .

O.: Jednem słowem, bawiliście się po królewsku! A to szkoda?

S.: Dlaczego jeszcze nie siada się do kolacji, tatusiu?

Ojciec: Mama i ja, jesteśmy już po kolacji.

Syn: Dlaczego dzisiaj tak wcześniej?

O.: Ponieważ zaraz wychodzimy.

S.: A dokąd mamusia i tatuś idą?

O.: Do cyrku.

S.: A ja nie idę razem?

O.: Jakże możesz pójść, przecież nie zrobiłeś jeszcze swoich zadań. Mówiłem już, szkoda, żeście się u Władzia tak dobrze bawili!

S. Tatusiu kochany, w pół godziny jestem ze wszystkim gotów, a potem mógłbym może jeszcze dalej robić, gdy wrócimy z cyrku. Proszę, bardzo proszę, tatusiu.

O.: Przykro mi, mój kochany, ale to niemożliwe. Najprzód obowiązek, a potem przyjemność. Innym razem, mój chłopcze! Cemu także nie opowiedziałeś się, kiedy z domu wychodziłeś? Zniknąłeś nagle, nikt nie wiedział, jak i gdzie. Bylibyśmy ci zaraz powiedzieli, co dzisiaj zamyślaliśmy. Ale oto nadchodzi już mama, zatem bądź zdrow!

Matka (wchodzi ubrana do wyjścia). Dobry wieczór, Stasiu! Biedne dziecko! Widzisz, jaką sprawiłeś mi przykrość! Teraz musisz sam zostać . . .

O.: To jego wina, dlaczego . . . Zresztą bawił się znakomicie całe popołudnie i to jeszcze pytanie, czy my naśmiejemy się tyle z dowcipów błazna, ile on się naśmiał z Kruczka sąsiada. Ale musimy już pójść, już późno.

M.: Dobra noc, Stasiu! śpij smacznie.

S.: Dobra noc, tatusiu i mamusiu (całuje rodziców) Życzę dobrej zabawy! — Władzio ma słuszość, ja byłem . . . byłem rzeczywiście osłem.

Kazia — Zosia, koleżanki.

Kazia: Nie gońże Zosiu! Jak się masz? Ale co to za wspa-
niały masz kapelusz! Pewnie nowy!

Zosia: Ale skądże nowy? Jeszcze z tamtego roku; trochę
przerobiony, . . . nowa wstążka i koniec.

Kazia: No, wiesz niktby nie powiedział! Wygląda, jak zu-
pełnie nowy. Ale przecież nie idziesz jeszcze na lekcję fortepianu?

Zosia: Naturalnie, że jeszcze nie! Najprzód idę do ciotki.
Wiesz, obchodzi dzisiaj imieniny. Zabawię tam chwileczkę, zresztą
to się jeszcze pokaże.

Kazia: W każdym razie zatrzyma cię u siebie; Słuchaj, czyto
nie jest Hania Krawczykówna ta, która idzie przed nami razem
z innymi dziewczętami?

Zosia: Naturalnie, że to ona! Słyszysz, jak się śmieją?
Gdzie się tylko ona ruszy, tam zawsze dosyć śmiechu i wesołości.
Chodź, chodźmy do nich!

Kazia: Ech, nie, nie mam ochoty. Przyznam ci się otwarcie,
że jej nie lubię. Taką zarozumiała i ma taki nieznośny język.

Zosia: Ależ nie, ona jest tylko taka wesoła! Muszę ci opo-
wiedzieć, co niedawno zrobiła. Przed kilku dniami ubrała się we
futro swojej gospodyni, zawinęła się w jej chustkę, nasadziła na
nos okulary swojej babki i — słuchaj dobrze! — usiadła w tem
przebraniu przed domem i poczęła robić pończochy. I wyobraż
sobie, wszyscy przechodnie naturalnie myśleli, że to jest gospo-

dyni, więc pozdrawiali ją i pytali o najrozmaitsze rzeczy n. p. „czy pani nie kupi bryndzy“, albo — „ciągle pani tak pilnie pracuje?“ A ta odpowiadała, jakby nigdy nic, poważnie, przyczem jej głos doskonale udawała. Powiadam ci . . . jakie to było komiczne! Uśmiełyśmy się, aż mię boki bolały! — Ale dokąd ty właściwie idziesz?

Kazia: Mam załatwić kilka sprawunków dla mamy, nadać polecony list, a potem muszę kupić szpulkę nici. Ale tu musimy się pożegnać, bo każda idzie w swoją drogę. A co robisz dzisiaj po południu?

Zosia: Chciałabym się trochę przejść. Pójdiesz ze mną?

Kazia: Ależ bardzo chętnie! czy ja mam przyjść do ciebie, czy ty przyjdiesz do mnie?

Zosia: Ja przyjdę do ciebie, jeżeli ci to odpowiada.

Kazia: Doskonale, a o której godzinie?

Zosia: Koło szóstej. Co ubierzesz?

Kazia: Ja pozostanę w tej samej sukience, którą mam na sobie, wezmę tylko żółte buciki i pończochy tego samego koloru.

Zosia: A więc do widzenia!

Kazia: Do widzenia! A baw się dobrze u ciotki!

Pani i wieśniaczka.

Wieśniaczka (przechodząc). Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Pani (stojąc przed domem). Na wieki wieków, amen! . . . Coś ciężko dzwigacie, gosposiu!

W.: Oj, ciężko, ciężko!

Pani: Możebyście tak spoczęli chwileczkę, o, usiądźcie na przykład tu na ławce . . . zdejmijcie też z siebie ten toboł, albo jeszcze lepiej, wstąpcie do domu, to się trochę osuszycie! . . . Ten deszcz nie przestaje! . . .

Wieśn.: O, dziękuję, (Bóg zapłać) moja Pani! . . . wystarczy, że tu na ławie spocznę. (Stawia wielki dzban, kładzie koszyk na ławie i siada).

Pani: No, a tego wielkiego toboła z pleców nie zdejmiecie?

W.: Nie opłaci się, moja pani, zaraz trzeba iść dalej.

P.: Idziecie z daleka?

W.: Ta, nie z tak daleka, ale jak złe drogi, to trzeba iść więcej jak dwie godziny. No, ale tu, to jestem już jak w mieście.

P.: Idziecie pewnie na targ, a cóż tam niesiecie?

W.: Na plechach mam parę kwart mleka dla doktora Rosnera, bo tam zawsze noszę. Niosę tam także i osełkę masła, a z innymi rzeczami idę na rynek, a mam jeszcze kilka innych osełek masła, dwa serki i kopę jaj.

P.: A cóż macie w dzbanku?

W.: Na spodzie grzyby, na wierzchu poziomki. Niech się pani przypatrzy, jakie ładne! Dzieci je ubierały, a wzięłam je na sprzedaż, bo zawsze kilka centów dostanie się i za nie. Tak to musi człowiek przemyśliwać, skądby wziąć jakiego centa.

P.: Czy macie jeszcze męża?

W.: A mam, robi we fabryce. Jak idzie w poniedziałek rano do roboty, to nie przychodzi aż na wieczór w sobotę. Dzieciska jeszcze małe i nie zdadne jeszcze do nijakiej roboty. Dobrze, że ta mam siostrę przy sobie, bo chybabym się nie ruszyła z chałupy.

P.: Macie dużo pola?

W.: Ii, co ta tego! Pięć morgów i odrobinę ogrodu. Dwie krowy, parę kur, to i wszystko, ale zawsze ta tyle, że człek wyżyje. Żeby się ta ino pogoda poprawiła, bo inaczej to się wszystko na nic popsuje w polu.

P.: Czy chodzicie regularnie na targ?

W.: Dwa razy na tydzień, moja pani, we środę i w sobotę.

P.: A to się dziwię, żem was już wcześniej nie zauważyła?

W.: Pewnie przez to, że zwyczajnie chodzę nie gościńcem, tylko przez Wyżycę, bo to bliżej. Ano odpoczęłam sobie trochę, trzeba się zbierać. A możeby tak pani kupiła co odemnie?

P.: Po czemu sprzedajecie jaja?

W.: Dwanaście za reńskiego. (2 K. dwie korony).

P.: Ależ to jest za drogo! Jeżeli opuścicie, to wezmę z pół kopy. No, będzie pięć koron za trzy tuziny?

W.: Za trzy tuziny? — aha, to jest pół kopy i sześć jajek. No, jak dla pani, to odstąpię za pięć koron pięćdziesiąt halerzy, (za dwa reńskie i pół ósmej szóstki). Będzie mi potem lżej iść. A masła i sera, nic pani nie weźmie? Albo grzyby i poziomki... odstąpię tanio.

P.: Nie, dzisiaj nie potrzebuję, mam jeszcze.

W.: No, muszę się teraz spieszyć, bo gdybym przyszła za późno do miasta, to musiałabym do południa siedzieć. Ludzie się porozchodzą i niema komu sprzedać. Oj nie wiem, czy mam pani wydać, z temi drobnemi to zawsze taka bieda. No, mam przecie... Trochę mię gniecie ten toboł...

P.: Czekaјcie na wam pomogę.

W.: Bóg zapłać, już dobrze. Zostańcie z Bogiem!

P.: Idźcie z Bogiem!

Panicz, panienka — Józef.

Panicz: Józefie, niech Józef weźmie szczotkę i oczyści mię trochę!

Józef: Zaraz paniczu. — No, teraz wszystko w porządku! Niech panicz patrzy, na ubraniu niema już ani jednego proszku. —

Tam znowu! . . . skądże ta plama na rękawie? . . . Cóż z nią zrobimy?

P.: Niech się Józef niepotrzebnie nie pyta, tylko postara się raz, dwa, aby plamy nie było. A cóż to za plama?

J.: Niech panicz pozwoli, . . . zobaczę. Pomalutku wszystko się zrobi! Hm . . . to wygląda na farbę. Panicz wie, że drzwi od werandy są świeżo pomalowane — a może to jest i wapno . . . czy ja wiem . . . a to byłoby gorzej! No chwała Bogu, schodzi od szczotki, w takim razie musiała to być mąka albo cukier, albo jedno i drugie — że też to niektórzy ludzie nie mogą odzwyczaić się od łakomstwa. No, — nareszcie już z niej ani śladu. Aha! . . . nadchodzi także panienska! Psiakość, jak panienska dzisiaj znowu świeżo wygląda.

Panienska: No, jeżeli to Józef mówi, to musi to być prawda!

J.: O, ja się znam na tych rzeczach! Ależ, na miły Bóg, panienko! Cóż to za rękawiczki wzięła panienska? W takich przecież nie można wyjść na ulicę! Czy panienska nie widzi, że wszystkie pięć palców wyłazi z rękawiczek?

Panienska: Czy to ma być dowcip? Niech mi Józef powie, czy jest rzeczywiście taki niemądry, czy tylko na takiego wygląda?

J.: To się tylko tak zdaje panience. Padam do nóżek, . . . całuję rączki! . . . A niech panicz przyniesie napowrót parasol do domu!

Odwiedziny.

Służąca (otwierając drzwi). Całuję rączki!

Pani Żłobicka: Jak się masz, moja Kasiu, ale zmiłuj się, jakże możesz mię tak długo trzymać! Już stoję tu dobry kwadrans, dzwonię i pukam, a wszystko napróżno!

Kasia: Niech pani daruje, ale ja na prawdę nie słyszałam; ścieram kurz w salonie, a ten hałas na ulicy przy otwartych oknach. . . .

Pani Żł.: Już, już dobrze, kiedy mnie wreszcie usłyszałaś. Jest pani Ptaszycka w domu?

Kasia: Oj niema, proszę pani, wyszła przed chwileczką.

Pani Żł.: To wielka szkoda! Czy przypadkiem nie powiedziała, kiedy wróci?

Kasia: Nic nie mówiła, ale ja myślę, że wróci zaraz.

Pani Żł.: To mi jest bardzo nie na rękę. Czy mogę przynajmniej widzieć się z panem Ptaszyckim?

Kasia: Pan to już jest w domu. Proszę pani tutaj.

Pan Ptaszycki: Proszę! A, to pani! Witam panią!

Pani Żł.: Dzień dobry! Pewnie przeszkadzam, bo jak widzę, pan zajęty!

Pan Ptaszycki: Ależ zupełnie nie, moja robota może przecież poczekać, niema nic pilnego. Owszem, bardzo mi jest przyjemnie. Niech pani będzie łaskawa usiąść, bardzo proszę.

Pani Żł.: Dziękuję bardzo, spocznę, jeżeli pan pozwoli, ale tylko chwileczkę. Niestety nie zastałam żony pańskiej w domu.

Pan Ptaszycki: Z pewnością będzie tego bardzo żałowała. A jakże się pani wogóle powodzi? Tak rzadko pani u nas bywa!

Pani Żł.: Nikt też tego bardziej nie żałuje, niż ja, i to jest powód, który mnie tu sprowadził, ale niechże powiem, o co chodzi. Cóż z jutrzejszym koncertem? Czy państwo nie mają zamiaru pójść na ten koncert?

Pan Ptaszycki: Właśnie przed chwilą o tem z żoną mówiłem. Rzeczywiście mielibyśmy wielką ochotę pójść tam, bo koncert zapowiada się świetnie, czegoś podobnego nie powinno się opuszczać.

Pani Żł.: To samo myślimy i my t. j. mój mąż i ja, i zaraz przyszło mi na myśl, czybyśmy nie mogli pójść razem, bo byłaby to dla nas podwójna przyjemność.

Pan Pt.: A cóż dopiero dla nas! Pomysł Pani jest wspałały, ma już może Pani bilety?

Pani Żł.: Na razie jeszcze nie. Myślałam, że weźmiemy miejsca obok siebie, jeżeli to państwu będzie odpowiadało.

Pan Pt.: Ależ naturalnie! No, ale ucieszy się moja żona! Jeżeli Pani pozwoli, to ja się zajmę biletami. Ileż to nas jest? Pani, mąż Pani, panna Marylka — bo przecież pójdzie z nami? — wreszcie nas dwoje — razem pięć osób. Czy mogę wybrać miejsca według swego upodobania?

Pani Żł.: Najzupełniej. Przecież pan zna nasze zapatrywania pod tym względem; nie za drogie, nie za tanie, a jeżeli można, w środku, bo tam słychać najlepiej. A więc sprawa załatwiona? (Powstaje).

Pan Pt.: Niechże Pani zatrzyma się jeszcze chwileczkę.

Pani Żł.: Niech pan daruje, ale już muszę iść. Proszę pozdrowić serdecznie żonę odemnie i powiedzieć jej, iż bardzo żałuję, że jej nie zastałam w domu.

Pan Pt.: Dopiero to będzie żałowała, że jej nie było w domu. A proszę także wszystkich w domu pozdrowić, piękne zaś ukłony i ucałowanie rączek dla Mamusi dobrodziejki. Czy ciągle jeszcze słaba?

Pani Żł.: Niestety zawsze tak samo, nic nie chce się polepszyć.

A jakież wiadomości ma pan od swojego syna? Powodzi mu się dobrze, uczy się pilnie na uniwersytecie?

Pan Pt.: Właśnie znowu pisał o pieniądze. Czy apteka, czy książki tak dużo go kosztują?

Pani Żł.: Zapewne ani jedno ani drugie. A zatem do widzenia jutro wieczorem!

Pan Pt.: Do widzenia!



Na dworcu kolejowym.

Zofia (żona). Ile zapłaciłeś za dorożkę?

Władysław (mąż). Dwa ruble za jazdę, pięćdziesiąt kopiejek za pakunki — taka jest taksa — powiedział — a 50 kopiejek dałem na piwo. Ale dlaczego pytasz o to?

Zofia: A bo się tak dziwnie uśmiechał. Myślałam, że cię oszukał.

Wład.: Cóż znowu! Podróżujemy przecież dla przyjemności, dlaczegożby więc i ten biedak z dorożki nie miał przytem użyć. A więc, czy mamy wszystko ze sobą? (zwraca się do posługacza). Dwa kufry i mała ręczna torba będą nadane, resztę zaś, a więc torbę podróżną i dwa pudełka, weźmiemy z sobą do przedziału.

Posługacz: Dobrze, proszę pana dobrodzieja. A dokąd ma być nadany ten pakunek?

Wład.: Na razie do Wiednia. Dzieci, nie oddalajcie się od nas, żebyśmy się nie pogubili w tłumie. (Do żony). Widzisz Zosiu, jak to dobrze, że tak nagliłem do wyjazdu. Lepiej poczekać pół godziny, niż spóźnić się o jedną minutę. Ja się znam na tem. (Do strażnika pilnującego porządku) przepraszam, kiedy odchodzi pociąg do Granicy?

Strażnik: Nie wiem.

Zofia: Po co się pytasz? Przecież znasz czas odjazdu z rozkładu jazdy.

Wład.: To prawda, moja droga, ale zapytać nie szkodzi. Lepiej zapytać o dziesięć razy za wiele, niż o jeden raz za mało. (Idzie do miejsca nadawania pakunków.) Hej, co robi tu mój pakunek, czemu jeszcze nie nadany?

Posługacz: Najpierw musi pan dobrodziej kupić bilet.

Wład.: Ależ to jest do niczego, okienko jest jeszcze ciągle zamknięte: na kolejach jest przecież wielkie niedbalstwo!

Zofia: Ależ mamy jeszcze tyle czasu! Teraz jest 20 minut po szóstej, a nasz pociąg odchodzi dopiero o godzinie 5 minut po siódmej. Nie będziemy przecież tak stać. Muszę odpocząć, idę do poczekalni.

Wład.: Jeszcze lepiej, jeżeli pójdziemy do restauracyi i zjemy drugie śniadanie. Staś zostanie przy pakunkach i będzie uważał, żeby co nie zginęło. Dobrze?

Staś: Dobrze, a gdy kasa będzie otwarta, przyjdę powiedzieć.

Wład.: (w restauracyi). No zrobiliśmy, co należało, nieprawdaż? Tak, tak, trzeba dobrze wiedzieć, co to jest podróż. Kelner! Proszę trzy szklanki białej kawy i ciastka.

Staś (po małej chwili): Tatusiu, bilety można już kupić.

Wład.: (powstając). Moja kawa musi na mnie poczekać, wrócę w tej chwili, (zdaża do kasy, przy której stoi już dużo osób).

Strażnik: (krzycząc na niego). Proszę tam; Po kolei! Nie można się tak pchać. Niech pan stanie na końcu, w tyle.

Wład: To mi piękne porządki na kolejach! To potrwa dobry kwadrans, zanim ja się dostanę i jakże ja się potem ze wszystkim na czas uprzątnę. A do tego gorąco, że można skończyć! Teraz znowu ta baba przy oknie; Czy ona się nigdy nie załatwi? Taż to już trwa całą wieczność! (nareszcie przed okienkiem) Wiedeń, cztery bilety drugiej klasy, pociąg pospieszny.

Kasyer: Niema. Skądże znowu? Teraz niema żadnego pociągu pospiesznego.

Wład: Cóż to znów nowego? O 7-mej 5 idzie przecież pociąg pospieszny przez Granicę. . .

Kasyer: Tak o 7-mej 5, ale wieczór! (Wład. odchodzi bez słowa).

Posługacz: Proszę pana dobrodzieja, nie dostałem jeszcze żadnej zapłaty za przeniesienie pakunków!

Staś: Tatusiu, dlaczego w rozkładzie jazdy przy 7-mej 5 jest 5 podkreślone.

W pociągu.

1. Pan (wchodząc do przedziału): Dzień dobry! Zdaje się, że jest tu jeszcze dosyć miejsca.

2. Pan: Miejsce przy oknie jest zajęte, pani stamtąd wyszła tylko na chwileczkę.

1. Pan: Ale to miejsce jest zapewne wolne. Czy można je zająć? O, dziękuję panu.

3. Pan: Torby nie należy tu stawiać, ale należałoby ją umieścić w górze w siatce.

1. Pan: W tej chwili, chcę sobie tylko coś z niej wyjąć. Zresztą, czy może panu przeszkadza?

3. Pan: W każdym razie jest to wbrew przepisom.

1. Pan: Przepraszam, pan zapewne jest urzędnikiem towarzystwa kolejowego? (wyjmuje z torby mnóstwo pakunczków, w końcu flaszkę, zamyka torbę i kładzie wszystko w siatkę.) Bardzo przepraszam! Czy mocno pana trąciłem?

2. Pan: Ależ, proszę bardzo, nic się nie stało.

1. Pan: Przepraszam najmocniej, ale czyby pan nie był łaskaw jeszcze troszeczkę się posunąć. Już doskonale, ślicznie dziękuję. (Do trzeciego pana). Przepraszam pana, jeżeli go obraziłem.

3. Pan: Mnie? Skądże znowu?

1. Pan: No, myślę, z powodu poprzedniej uwagi.

3. Pan: Że jestem urzędnikiem kolejowym? Chciałbym nim być, a w każdym razie nie jest to przecież żadna obraza!

1. Pan: No, to bardzo ładnie! Gdy się razem jedzie i razem siedzi kilka godzin w ciasnej przestrzeni wozu kolejowego, to powinno się jechać w zgodzie, by sobie podróż wzajemnie uprzyjemniać.

2. Pan: Słusznie pan mówi. Ja także jestem tego samego zdania. Daleko pan jedzie?

1. Pan: Do Lwowa, a pan?

2. Pan: Ja także tam jadę. Mamy tedy przed sobą 10 godzin wspólnej jazdy. Co do mnie, to jadę już od sześciu godzin.

1. Pan: To trochę za dużo. Bardzo pana żałuję. Ale dlaczego pociąg nie rusza z miejsca? Już przed kwadransem wołały konduktorki: wsiadać! wsiadać! jak gdyby był już ostatni czas, a tymczasem ciągle stoimy.

Chłopiec: Teraz dają znak do odjazdu. Ale gdzież to jest ta panienka z tego miejsca w kącie?

2. Pan: Oto i ona! No, całe szczęście, że pani zdążyła. Nie wiele brakowało, a pojechalibyśmy bez pani.

Pani: Dzięki Bogu, jestem z powrotem. Ale to okropne, że nie dają chwileczki czasu do wypicia kawy!

3. Pan: Tak, tak! Kolej żelazna nie zna się na galanterii w stosunku do pań, na tak przystojną panienkę powinien przecież pociąg kilka minut zaczekać. Nie prawdaż?

1. Pan: Bądź co bądź tym razem zaczekał, a my jesteśmy za to wdzięczni konduktorowi. (Pociąg rusza z takim szarpnięciem, że pani upada na swoje miejsce).

3. Pan: Postarano się oto, by pani bez trudu usiadła, (wszyscy się śmieją).

1. Pan: Proszę państwa, teraz jesteśmy w należyтым nastroju, i podróż powinna być przyjemna. Przedewszystkiem cygaro; czy można palić?

2. Pan: Właściwie jest to przedział dla niepalących, ale jeżeli reszta panów, a przedewszystkiem pani nie ma nic przeciw temu. . . .

Pani: Ależ proszę, prosiłabym tylko ściągnąć okno z przeciwnej strony, bo raczej niech będzie trochę przeciągu, niż zepsute powietrze.

2. Pan: Już wszystko w porządku. Teraz może pan palić jak komin maszyny parowej, nawet dwa cygara naraz.

1. Pan (do trzeciego): Zdaje mi się, że tamten pan zauważył moją flaszkę koniaku.

Pankiewicz — kupiec i Górski — lekarz.

Pankiewicz: Moje uszanowanie panu doktorowi!

Górski: Najniższy służa! Jak się panu powodzi, panie Pankiewicz?

Pank.: Dziękuję bardzo, a panu, panie doktorze? Ma pan doktor teraz dużo zajęcia? Dużo chorób w mieście?

Górski: Niema nic nadzwyczajnego. Na ogół stan zdrowia jest dosyć zadawalający, gdzieniegdzie ukaże się szkarlatyna, zresztą wypadki bez znaczenia. A jak się ma pańska żona?

Pank.: Jak zwykle, nerwy nie dają jej spokoju, ponadto bicie serca, bóle głowy, że prawdziwa rozpacz z tem wszystkiem.

Górski: Tak, tak, nerwowość u pań to śliczny wynalazek! Właściwie my lekarze nie powinniśmy nad tem wiele ubolewać, bo ta choroba jest dla nas przecież źródłem pięknego dochodu.

Pank.: Wyobrażam to sobie. Niech pan wybaczy, panie doktorze, ale czy to właściwie nie jest ujmą, że sztuka lekarska nie przeciw temu nie może działać? Wiedza robi przecież tak wielkie postępy na wszystkich polach.

Górski: Cóż pan myśli? Jest przecież wiele rzeczy i to nawet tych najzwyklejszych i najprostszych na pozór, które są dla naszego poznania niedostępne, tak np. czy może wiedza dokładnie obliczyć, gdzie się księżyc będzie znajdował za 5000 lat, albo jaką będziemy mieli pogodę pojutrze lub nawet jutro, tego nie może nikt na pewno przepowiedzieć.

Pank.: Oho, panie doktorze, to pan nie zna mojej ciotki! Ta przepowie panu zawsze dokładnie pogodę; ma ona do tego najpewniejsze wskazówki: dym z komina tuż obok piekarza naszego, temperament much i nagniotek na małym palcu u lewej nogi.

Górski: Dajże pan spokój! Taką miłą, rozsądną kobietę tak obmawiać! Zresztą obecnie nie na wiele zda się panu jej wyrocznia, bo jak przypuszczam, wyjechała z pańską żoną i dziećmi na wieś. A pan nie wypocznie troszeczkę i nie wyjedzie na wieś na kilka tygodni?

Pank.: Na kilka tygodni, to niemożliwe. Interesy mojego handlu zmuszają mię do pozostania w mieście. Co sobotę jednak wyjeżdżam po południu na wieś, całą niedzielę spędzam u mojej rodziny i wracam w poniedziałek rano. Mam na szczęście doskonałe połączenia pociągów. Wyznam zresztą otwarcie, że to przypada mi więcej do gustu, bo proszę pana, co można mieć na wsi? Gdy jeszcze przyjdzie słońce, to można skonać z nudów.

Górski: Tak, ale przecież świeże powietrze i spokój!

Pank.: Przyznaję, ale zato brakuje innych rzeczy. Proszę pana, gdzie można mieć tak wygodne mieszkanie, gdzie śpi się smaczniej, jak nie w domu u siebie? Nadto braki w obsłudze, trudności z wiktem, słowem, pobyt na wsi ma wiele ciemnych stron.

Górski: Bez wątpienia. Niema nic doskonałego pod słońcem. A jak spędza pan wieczory?

Pank.: Czasem chodzę do teatru albo na inne przedstawienie, ale naturalnie w lecie nie bywa to zbyt często. Zwykle idzie się do czytelnicy, gra się w bilard lub szachy, czyta się dzienniki

itd. Punktem kulminacyjnym jest środa, bo wtedy jest stale na porządku dziennym partyjka taroka. Pan doktor zapewne także chętnie gra w karty, czy nie zechciałby pan przysiąść się czasem do naszego stolika?

Górski: O, dziękuję. Grę w karty zarzuciłem zupełnie. Prześladuje mnie w grze nieznośny pech. Przegrywać pieniądze, a nadto narażać się na wyśmiewanie lub łajanie nie należy do wielkich przyjemności. Moje uszanowanie!

Pank.: Żegnaj Pana doktora!

O wymowie.

Pani: Może będziemy mówić ze sobą po polsku, panie Riegier?

Pan: Ach! nie, jeżeli Pani pozwoli. Mówmy raczej po niemiecku! Dla Pani może to być obojętne, gdy mnie rozmowa w języku polskim sprawia ogromną trudność.

Pani: Właśnie dlatego powinien Pan jak najwięcej mówić po polsku, aby się ćwiczyć, ćwiczenie, ćwiczenie bowiem to cała tajemnica.

Pan: Niech Pani daruje, ale nie mam wcale ochoty narażać się na śmiech.

Pani: Któżby się z Pana wyśmiewał? Tylko nieoświeceni ludzie mogą sztydzić z cudzoziemców, którzy ich językiem niezupełnie władają i nie mówią nim bez błędu.

Pan: Przepraszam Panią, między niezupełnie władać a kaleczyć jest wielka różnica, a keleczenie języka sprawia bądź co bądź komiczne wrażenie.

Pani: Pan przecież nie znajduje się w tem położeniu, Panie Riegier. Powiedział Pan przed chwilą, że mnie może nie sprawiać różnicy, czy mówię po polsku czy po niemiecku i do pewnego stopnia — przyznaję — ma Pan rzeczywiście słuszość. Ale widzi Pan, ja tylko w polskim towarzystwie mogę się popisywać moją niemczyzną; wobec Niemców mój nimb znika. Już sama moja wymowa niemiecka nie jest żadną miarą bez zarzutu.

Pan: Właśnie, wymowa! Mnie się wydaje, jakbym do mówienia po polsku musiał sobie przyprowadzić inny język, a to znowu nie jest takie łatwe. Z resztą daję sobie jakoś rady; rozumiem nie tylko wszystko, co się do mnie mówi, czytam bez trudności polskie dzienniki i autorów, umiem się także dość dobrze wyrażać w piśmie, ale prowadzić rozmowę w języku polskim i przytem wydawać czysto polskie dźwięki — tego nie potrafię, to mi się już stanowczo nie udaje, a przecież przebywam już tyle lat na polskiej ziemi.

Pani: To pochodzi ztąd, że Pan należycie nie wyzyskuje sposobności i chętnie unika polskiej rozmowy. Widzi Pan, Pański

ziomek n. p., Pan Wiegand, ten mówi po polsku prawie jak rodowity Polak.

Pan: Tak, bo się jeszcze w dziecięcych latach nauczył po polsku, a nawet przez kilka lat uczęszczał do polskiej szkoły. I na tem właśnie wszystko polega: języków trzeba się wyuczyć w najwcześniejszej młodości, gdyż inaczej pozostaną dla nas zawsze obce. Dziecko naśladuje wszystko a więc i sposób mówienia drugich, a potem paple swobodnie, dopóki nie potrafi wypowiedzieć wszystkiego tak, jak mu to jego wzory pokazały. Dorosłemu brak już tej szczęśliwej swobody, chciałby zawsze wiedzieć, jak się to lub owo robi, dlaczego mówi się tak a nie inaczej, i pod wpływem tych ciągłych wątpliwości nie może ruszyć z miejsca. A zwłaszcza co się tyczy wymowy, trzeba jeszcze i to dodać, że tylko niewielu Polaków może nam udzielić rozumnych wyjaśnień, odnoszących się do głosek ich mowy. Przecież to nie jest żaden opis wymowy, jeżeli się komuś powie: „ś albo / albo tym podobne głoski musi się wymawiać całkiem miękko, nie tak twardo jak w języku niemieckim.“ Kto z tego będzie mądry?

Pani: Rzeczywiście, jasne to nie jest.

Pan: I co ma człowiek z tem począć? Inny znowu przychodzi z objawieniem: „W języku polskim mówi się więcej przednią częścią ust, więcej wargami.“ Próbowałem [tego z początku, ale wkrótce zaniechałem i sędzę, że temu tylko zawdzięczam, żem zachował jeszcze dość regularną twarz.

Pani: Ha, ha, ha! Doskonale. Przypomina mi się mój dawny nauczyciel języka niemieckiego, który był znakomitym znawcą obu języków a zwłaszcza w fonetyce był nadzwyczajnie biegłym. Od niego otrzymałam niejedną cenną wskazówkę. Tak n. p. przypominam sobie, jak pewnego razu pouczał nas, że w języku niemieckim po *t*, *p*, i *k* słychać jeszcze jakiś przydech, jakby ciche *h*, podczas gdy w polskim nie można tak wymawiać, podobnie jak i we francuskim.

Pan: Niestety, ja nie spotkałem takich nauczycieli.

Pani: Innym razem mówił o różnicy między polskiem *ale* a niemieckiem *alle*. „W niemieckim słowie — mówił — pisze się wprawdzie dwa *l*, ale wymawia się tylko jedno a pomimo to jest znaczna różnica w wymowie; w polskim *ale* składa się pierwsza zgłoska tylko z *a*, a *l* należy do drugiej zgłoski; natomiast w niemieckim wyrazie należy *l* zarówno do obu zgłosek. Wprawne ucho może już na takim jak ten wyraz odróżnić Polaka od Niemca; jest to jakby list gończy, który każdy z sobą nosi.

Pan: Zapewniam Panią, że u mnie wcale nie potrzeba tak wielkiej subtelności; wystarczy mi tylko usta otworzyć, a każdy odrazu pozna, z kim ma do czynienia.

Pani: Ha, ha, ha, wybornie! Ale teraz, porzućmy, Panie Rieger, ten uczony temat i mówmy o czemś bardziej zajmującym. Zgoda?

Pan: Z największą przyjemnością.

Piast.

W pogańskich jeszcze czasach, za panowania księcia Popiela II., żył w Kruszwicy nad jeziorem Gopłem cichy i pocziwy rolnik, a zarazem kołodziej, imieniem Piast. Żona jego Rzepicha była również bogobojną i cnotliwą niewiastą. Oboje odznaczeni się dobrem sercem, sprawiedliwością, zamiłowaniem pracy i gościnnością.

Zdarzyło się, iż bogaty i dumny książę Popiel i ubogi a skromny kmiotek Piast równocześnie sprawiali synom swoim postrzyżyny.

Był to starodawny zwyczaj, iż dzieciom w siódmym roku życia po raz pierwszy postrzygano włosy, przy czem nadawano im imiona, jak u nas na chrzcie świętym. Otóż w dniu tym wesoło i gwarno było w domu Piasta. Sproszono krewnych i sąsiadów, a gospodarz niczego nie żałował, aby ugościć zebranych.

Wtem weszli do chaty jacyś dwaj podróżni, których późniejsze podanie aniołami zowie. Przybywszy do Kruszwicy, udali się oni najpierw na dwór księcia Popiela, ale niegościnnie i nieużyty książę zamknął przed nimi swe serce i drzwi domu swego. Poszli więc podróżni pod ubogą, ale gościnną strzechę Piasta, gdzie ich otwartem przyjęto sercem i wśród biesiadujących gości posadzono za stołem.

Rozpoczęła się uczta. Wnoszono misy jadła i dzbany miodu, ale szczupłe zapasy ubożego Piasta nie mogły wystarczyć, ażeby uraczyć wszystkich tak, jak przystało na tak znaczną uroczystość. Spostrzegli to dwaj pielgrzymi. Przez wdzięczność tedy za gościnne przyjęcie uczynili cud, jak niesie podanie: oto pomnożyli pokarmy i napoje tak, iż wszystkiego było podostatkiem.

Kiedy podczas biesiady wszyscy kolejno postrzygali włosy syna Piastowego, uczynili to i owi podróżni, poczem nadano mu według podania imię Ziemowit, któreto imię w ówczesnej mowie znaczyło tyle co: „podbijający ziemię.“ Nadaniem tego imienia podróżni przepowiedzieli niejako synowi Piasta przyszłe jego wywyższenie. Ale i Piastowi samemu oznajmili, jak mówią, iż będzie panem Polski i że ród jego będzie w Polsce długo panował, a kraj cały pod rządem książąt i królów z jego rodu stanie w rzędzie pierwszorzędnych mocarstw.

Stało się tak rzeczywiście.

Niebawem zginął sromotnie książę Popiel II., a zebrani na wiecu Polacy wynieśli na tron książęcy znanego im z dobrego serca i z wielu cnót Piasta, o którym słusznie sądzą, że kto umie dobrze gospodarzyć na małym, ten i na wielkim podoła. Długo namyślał się i wahał pocziwy kmiotek kruszwicki, czy mu wypada przyjąć tak wielki zaszczyt, ale zarazem i tak ciężki obowiązek; wolałby był bowiem zostać przy swym pługu i roli, przy pasiece i rzemiośle, niż rządzić szerokim krajem i kierować losami

narodu. Wreszcie ulegając woli ziomków, przyjął rządy książęce, ale rozkazał pług swój postawić przy tronie, przyczem w następujące mniej więcej odezwał się słowa:

„Ziomkowie moi, kiedy mam panować,
Gdy wy i same nieba tak zrzędziły,
Zaklinam, chciejcie rolnictwo szanować:
W mieczu i pługu są Polaków siły!”

Odtąd długo panował Piast w Polsce. I nie zawiódł się naród na jego wyborze, bo książę, jak mógł i umiał, szczerze starał się o dobro swego kraju. Naród wdzięczny mu za tę troskliwość, nie tylko wybierał i później książąt i królów z jego rodu, póki ród ten istniał, ale nawet i wtedy, kiedy już z różnych domów wybierano królów, króla-Polaka zwano zawsze Piastem.

Wawel.

Gdy chcesz wiedzieć, co to chowa
Nasza przyszłość w swoim łonie,
Jako stara słowa płonie:

To jedź, bracie, do Krakowa.

W. Pol.

Na wysokiej, nad miastem wznoszącej się górze Wawelu, o której skalistą podstawę Wisła z szumem swe fale roztrąca, stoi gmach starożytny, niegdyś książąt i królów polskich siedziba.

Krakus, wódz Chrobatów, jak niesie stare podanie upodobał sobie ten obszerny i rzeką oblany wzgórek, z którego piękny dookoła roztacza się widok na urodzajną równinę; tutaj też na mieszkanie dla siebie zamek drewniany wystawił. Lecz gdy z postępem wieków na dworze królów naszych miejsce dawnej prostoty wytworniejsze zajęły obyczaje, zaczęto zamek ten coraz bardziej rozprzestrzeniać i zgodnie z każdorazowym stanem sztuki wojennej obwarowywać, aż wreszcie z biegiem czasu dla pomieszczenia coraz liczniejszego dworu całą zabudowali górę.

Wielu władców europejskich mogło w świetniejszych przemieszkiwać gmachach, a przepychem dworu, wytworem sprzętów, zbytkiem stołu górować nad skromnem życiem królów naszych, lecz pewno żadnego panującego mieszkanie piękniejszym nie odznaczyła się położeniem, jak krakowski zamek monarchów polskich.

Z licznych i wielkich gmachów składał się niegdyś zamek krakowski, a z rozległości swej raczej do miasta niż do zamku był podobny. Teraz najznakomitszą jego częścią jest kościół katedralny, tudzież dawny pałac królewski. Mur okalający od strony południa i zachodu już nie istnieje, tylko stoją baszty czyli wieże zadziwiającej wysokości, które służyły jako więzienia. Właściwy pałac królewski zajmujący blisko trzecią część powierzchni Wa-

welu, formują gmachy o dwu piętrach, galeryami opasanych; stoją one w czworobok około dziedzińca znacznej obszerności, będącego w środku, a chociaż im czas dawną świetność wydarł, świadczą jeszcze wymownie, że były królów siedliskiem.

Z całego dawnego przepychu zamku krakowskiego utrzymał się tylko bez uszkodzenia kościół katedralny, świątynia najwspanialsza z kościołów krajowych, pobożnością monarchów wzniesiona. Obejmuje ona 18 kaplic, w których się mieszczą wspaniałe grobowce i pomniki królów, niemniej pomniki i napisy uwieczniające pamięć tych sławnych mężów, których imiona dziełami cnoty, nauką lub walecznością na najpiękniejszych kartach dziejów naszych jaśnieją.

Pośrodku kościoła wznosi się, jakby kościół w kościele kaplica św. Stanisława, patrona Polski, okryta kopułą wyłaczaną wspartą na brązowych słupach. Na ołtarzu jej w srebrnej trumnie, unoszonej przez aniołów, złożone są kości św. Męczennika.

Bywała ta katedra królom naszym kolebką ich chwały a życia, a teraz jest miejscem spoczynku ich popiołów. Wychodząc z rycerstwem na obronę granic, tu oni uzbrajali się błogosławieństwem niebios, a powracając, tu dawcy zwycięstwa składali dziękczynienia i znaki tryumfów na ścianach jej zawieszali.

Pod posadzką tej świątyni czyli w. t. zw. krypcie spoczywają prochy mnogich książąt i królów polskich, oraz ich rodzin; a zaraz u wejścia do niej, obok pogromcy Turków Jana III., leżą w marmurowych grobowcach śmiertelne ostatki Tadeusza Kościuszki i księcia Józefa Poniatowskiego. Tutaj też, w królewskich grobach na Wawelu złożono w r. 1890. zwłoki Adama Mickiewicza, największego narodowego poety.

Równie ważnymi i oglądania godnym jest skarbiec, w którym znajdują się szacowne pamiątki starożytne, jak ubrania kościelne, krzyże, kielichy i t. p. perłami i drogimi kamieniami sadzone, oraz ubiory pontyfikalne, przypominające dawną zażyłość biskupów krakowskich, z których daru pochodzą.

Przy wielkich drzwiach kościelnych wznoszą się dwie wieże, a trzecia obok zakrystyi. Na tej znajduje się dzwon największy w Polsce zwany Zygmuntem. Ma on jakie 8 m. w obwodzie, a do poruszenia go ośmiu silnych ludzi potrzeba. Majestatyczne, donośne jego brzmienie rozlewa wdzięczną i dla słuchu wielce miłą harmonię nad całym miastem i dalszą okolicą.

Sławna w dziejach bajecznych Polski smoczy jama, w skalistym łonie Wawelu ręką przyrody wydrążona, znajduje się od strony jego zachodniej, t. j. od Wisły. Wejść do niej można po schodach drewnianych niedawno postawionych. Jest ona zupełnie sucha, ma kilkadziesiąt kroków długości i znaczną zajmuje przestrzeń.

I tak co krok niemal napotkasz tu na jaką szacowną i sercu drogą pamiątkę: Kraków bowiem, a w szczególności Wawel jest tem dla Polaków, czem Rzym dla świata.

Bolesław Chrobry (992—1025).

Najstarszy syn i następca Mieczysława, Bolesław, zwany dla niezwykłego męstwa i siły Chrobrym, był jednym z najznakomitszych władców na tronie polskim. Rozszerzył on znacznie granice państwa na wszystkie strony. Mieszkający nad morzem Bałtyckiem Pomorzanie sami mu się poddali, sąsiadujących z nimi Prusaków zmusił do uznania swego zwierzchnictwa. Tento dziki, w pogaństwie jeszcze żyjący lud postanowił Bolesław pozyskać dla wiary św.

Właśnie w tym czasie zjawił się na dworze Bolesława biskup czeski Wojciech. Z nim tedy naradzać się począł Bolesław nad sposobem ochrzczenia Prusaków. Św. Wojciech od lat najmłodszych odznaczał się wielką gorliwością religijną. Poświęciwszy się stanowi duchownemu, został biskupem w Pradze. Nie zadowolili się tem jednak, marzył o nawracaniu ludów pogańskich. Zwrócił się tedy do papieża z prośbą, by mu pozwolił w tym celu opuścić Czechy. Z błogosławieństwem Ojca św. puścił się w drogę przez Polskę. Na dworze Bolesława przyjmowano go z wielką czcią i radością. Biskup chciał natychmiast iść w kraje pogańskich Prusaków, ale ulegając prośbom króla, spędził zimę w Polsce. Tu przygotowywał się do swej apostołskiej wyprawy i wygłaszał kazania. Zbierał się na nie lud nawet z odległych części kraju, by usłyszeć pobożnego męża, którego sława szybko rozeszła się po całej Polsce.

W Prusiech przyjęto biskupa bardzo niechętnie. Skoro Prusacy dowiedzieli się, że chodzi o odebranie im wiary w ich bożków, którym ojcowie i dziadowie część oddawali, oburzyli się i obrzucili kapłana obelgami. Gdy następnie Wojciech, znudzony trudem całodziennym, spoczął w gaju, poświęconym bożkom pogańskim, dokąd obcym wstęp był wzbroniony, Prusacy zabili go włóczniami.

Wiść o męczeńskim zgonie biskupa żałobą napełniła naród polski. Bolesław wysłał do Prus posłów, by wykupili ciało męczennika. Sprowadzone zwłoki złożono w srebrnej trumnie i pochowano w katedrze gnieźnieńskiej, a dzień zamordowania biskupa Wojciecha, którego potem policzono w poczet świętych (23. kwietnia) obchodzi się w Polsce uroczystie, jako dzień śmierci pierwszego apostoła i męczennika Polski.

Do grobu św. Wojciecha, który niebawem zasłynął cudami, postanowił odbyć pielgrzymkę przyjaciel biskupa, ówczesny cesarz niemiecki, Otto III. Był to rok 1000. Powszechnie mówiono, że zbliża się koniec świata, więc każdy rad był duszę z grzechów oczyścić i pomodlić się u świętego miejsca. Z wielką gorliwością przygotowywano się w Polsce, by godnie przyjąć Ottona III. Od granic Polski do Gniezna oczekiwały gościa tłumy odświętnie przybranego ludu. Bolesław wyjechał naprzeciw Ottona z pocztem

rycerzy. Wszyscy na pięknych koniach, w jasnych żupanach, bogatych futrach, lśnili się od złota i srebra. A za rycerstwem ciągnęły zastępy całe wieśniaków, odzianych w białe lub czarne sukmany. Widok był wspaniały. Drogę z Poznania do Gniezna zasłano czerwonym suknem, gdyż Otton zrobił poprzednio ślub, że drogę tę odbędzie pieszo. Ze zdumieniem spoglądał Otton wokoło, nie spodziewał się, że kraj ten, który Niemcy za barbarzyński uważali, tak jest piękny, a lud tak okazały i dostatni. Trzy dni gościł Bolesław Niemców u siebie. Dom królewski był wprawdzie drewniany, ale izby były obszerne, ściany ozdobione złotem i srebrnymi blachami, a podłogi zaścienione cennymi futrami. Wielkie dębowe stoły ugiwały się pod ciężarem srebrnych mis, pełnych mięsiva i dużych dzbanów, napełnionych starym miodem. Naczynia po każdej uczcie kazał Bolesław rozdawać panom niemieckim na pamiątkę, nie szczędząc i innych darów jako to cennych futer, pieniędzy i strojów rycerskich.

Trzeciego dnia w czasie uczty Otton, zachwycony przyjęciem, dworem, krajem i królem, zdjął ze swej głowy koronę i włożył ją na głowę Bolesława, uznając go równym cesarzom niemieckim. Zgodził się też wówczas cesarz, by założono w Gnieźnie arcybiskupstwo, któremu podlegać miała cała Polska, zamiast, jak dotychczas, arcybiskupowi niemieckiemu.

Wiele lat panowania swego spędził Bolesław na wojnach, wojował dużo, a zawsze szczęśliwie. Niemców, gdy mu po śmierci Ottona III. hołd złożyć kazali, pokonał i zapomocą częstych utarczek podjazdowych tak znękał, że nie tylko uznali niezawisłość Polski, ale nadto zawarli z nią pokój, bardzo korzystny dla Polski. Przekonali się Niemcy w tych walkach o niezwykle męstwie Bolesława, a będąc sami narodem wojowniczym, umieli je cenić i nawet piosenki śpiewali o bohaterskich czynach polskiego władcy.

Wyprawiał się też Bolesław na Ruś, by uśmierzyć panujące tam właśnie między książętami. W powrocie z Kijowa przyłączył on znów do Polski Grody Czerwieńskie, zabrane Polsce pod koniec panowania Mieszka I. — Jest podanie, że gdy Bolesław wjeżdżał do Kijowa, uderzył mieczem w bramę na znak, że miasto to bierze w swoje posiadanie. Miecz ten, który się wyszczerbił przy tem uderzeniu, t. zw. szczerbiec, używany był odtąd stale przy koronacji.

Lud kochał i czcił swego władcę, mimo że surowym być umiał i karał ostro wszelkie nadużycia lub niesumienność. Bolesław — zwyczajem ówczesnych władców — sam zasiadał na sądach, a ludzie tłumnie schodzili się, wiedząc, że znajdą sprawiedliwość. Objeżdżał też sam państwo, sam pilnował porządku, a nadewszystko uważał, by nieprzyjaciel nie niszczył pogranicznych ziem.

Rozumiał też Bolesław i oceniał należycie znaczenie chrześcijaństwa, które łagodziło surowe obyczaje ludu. Liczne klasztory

i kościoły jemu zawdzięczają swe powstanie. Karał przekraczanie przepisów kościelnych, usuwał resztki pogaństwa. On sprowadził do Polski zasłużonych zakonników, Benedyktynów, którzy nie tylko uczyli czytania i pisania, nie tylko przepisywali cenne dzieła, gdyż w onych czasach nie znano jeszcze druku, ale także uczyli przy klasztorach dobrej uprawy roli, karczowania lasów, zakładania sadów, przyjmowali w swe mury chorych i nimi się opiekowali, dawali przytułek podróżnym.

W rok przed śmiercią ukoronował się Bolesław uroczystie w Gnieźnie na króla polskiego. pragnąc zabezpieczyć jedność państwa na przyszłość i wyraźnie zaznaczyć, że jest niezależnym władcą.

Jan III. Sobieski (1673—1696).

Jan Sobieski, po kądzieli prawnuk słynnego hetmana Żółkiewskiego, który poległ pod Cecorą, otrzymał razem ze swym starszym bratem, Markiem, w domu rodzicielskim surowe, ale nadzwyczaj staranne wychowanie. Wcześniej wpajali troskliwi rodzice w serca młodociane swych dzieci główne cnoty obywatelskie, poszanowanie wiary św. i gotowość poświęcenia się dla spraw publicznych. „Młodszy niech starszego szanuje, a starszy niech młodszego miłuje” — mawiał dzieciom swym ojciec Sobieskich; matka zaś pokazując obu synom grobowiec pradziada, hetmana Żółkiewskiego, wyjaśniała im znaczenie łacińskiego napisu na grobowcu: „O, jak słodko i zaszczytnie jest umrzeć za ojczyznę” i przy tej sposobności opowiadała o pełnych poświęcenia czynach przodków. Po ukończeniu nauk początkowych w rodzicielskim domu wysłał ojciec obu chłopców do najwyższej szkoły polskiej, t. j. do akademii krakowskiej, a następnie dla zakończenia studiów i nabrania ogłady za granicę. Młodzi Sobiescy poznali Francję, Niderlandy, Włochy; nauczyli się tam władać obcymi językami i zaznajomili się ze sztuką wojenną, która podówczas wysoko stała na Zachodzie. Dopiero wieść o śmierci ojca i króla Władysława IV. sprowadziła ich z powrotem do kraju. Tu starszy z braci, Marek, zaciągnąwszy się do wojska, zginął w czasie jednej z wypraw przeciw Chmielnickiemu; młodszy zaś, Jan, przeszedł twardą szkołę wojenną, walcząc przeciw Szwedom i Kozakom pod komendą Stefana Czarnieckiego. Wielki talent wojenny i nieustraszoną odwagę w bitwach zwróciły na Jana Sobieskiego uwagę jego przełożonych, więc też szybko doszedł on do najwyższych godności w państwie. Gdy po ustąpieniu Jana Kazimierza za krótkich rządów jego następcy, Michała Korybuta Wiśniowieckiego, Turcy napadli na Polskę i spustoszyli całe Podole, zajęli ważną twierdzę, Kamieniec Podolski, stanął Sobieski na czele wojska i zadał Turkom straszną klęskę pod Chocimem. Po dwugodzinnej

zaledwie walce zdobyli Polacy cały warowny obóz turecki wraz ze wszystkimi armatami i chorągwiami. Zwycięskie walki z Turcją zjednały Sobieskiemu w całej Europie zaszczytne miano pogromcy Turków i obrońcy całego chrześcijaństwa, a Rzecz pospolita obdarzyła zwycięzcę z pod Chocimia najwyższym zaszczytem, jakim rozporządzała, koroną królewską po śmierci Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Zostawszy królem, odłożył Sobieski swą koronację do lepszych, spokojniejszych czasów i natychmiast pośpieszył na dalszą walkę z Turkami i Tatarami, których coraz to nowe zastępy słał na Polskę sułtan Mahomet IV. Wszystkie te najazdy nieprzyjacielskie odpierał dzielnie Jan III., znosił grasujące po kraju czambuły tatarskie, odbierał, zajęte przez wroga zamki i oswobadzał obleżone miasta. Ponieważ w Rzeczypospolitej trudno było o zebranie potrzebnych na ciągłą walkę pieniędzy, król własnym nieraz kosztem uzbrajał żołnierzy i wiodł ich na boje, przez półtora roku nie schodząc z pola walki, nie znając, co to odpoczynek. Gdy pod miasto Lwów ruszyła czterdziestotysięczna horda Tatarów, rozgromił ich Sobieski u stóp góry Wysokiego Zamku, gdzie dzisiaj stoi wioska Zniesienie, i uratował stolicę Rusi Czerwonej od najazdu; podobnie Trembowla zawdzięczała mu swe ocalenie, gdyż wróg, oblegający zamek, uciekł w popłochu na samą wieś, że zbliża się z odsieczą Jan III.

Z czasów oblężenia Trembowli przekazała nam historyi piękny przykład niezwykłego męstwa i przytomności umysłu kobiety polskiej, Anny Doroty Chrzanowskiej. Garstka załogi pod dowództwem komendanta zamku, Samuela Chrzanowskiego, broniła dzielnie Trembowli przez dwa tygodnie, ale wreszcie, wycieńczona walką, gdy odsiecz spodziewana nie nadchodziła, upadła na duchu i postanowiła się poddać, byle tylko życie ocalić. Skoro się o tem dowiedziała żona komendanta, Anna Chrzanowska, wpadła na posiedzenie, gdzie radzono nad poddaniem zamku, i zagroziła obecnym, że męża i siebie natychmiast życia pozbawi, jeśli zamek się podda dobrowolnie. To śmiałe wystąpienie kobiety polskiej zawstydziło zebranych mężczyzn, postanowiono więc dalej się bronić i miasto zostało uratowane przez wojsko Sobieskiego, które nadciągnawszy, zmusiło oblegających nieprzyjaciół do ucieczki. Po odbytej koronacji nie zaniechał Sobieski dalszej walki z Turkami. Wysyłał poselstwa do wszystkich znaczniejszych monarchów Europy, by ich zachęcić do wspólnej walki z Turkami. Bardzo ścisły sojusz stanął wreszcie pomiędzy Polską a cesarzem Leopoldem I., w którym obie strony przyrzekły sobie wzajemną pomoc w razie nowego najazdu tureckiego. W r. 1683 ruszyło 300.000 Turków na zdobycie Wiednia pod dowództwem wielkiego wezyra, Kara Mustafy. Strach padł nie tylko na Europę środkową, ale na całe chrześcijaństwo. Cesarz nie mając tyle wojska, aby powstrzymać zastępy sułtana, uszedł z Wiednia, zleciwszy obronę stolicy państwa hr. Starhembergowi. Na wszystkie strony słał cesarz błagalne poselstwa z prośbą o szybką pomoc: do papieża, do ksią-

żąt niemieckich, a przedewszystkiem do znanego pogromcy Turków, króla polskiego, Jana III. Sobieski śpieszył właśnie na mszę św., gdy na korytarzu zamku królewskiego padli przed nim na kolana wysłannicy od cesarza i papieża. „Królu, ratuj Wiedeń!” — zawołał poseł Leopolda I. „I chrześcijaństwo” — dodał śpiesznie nuncyusz papieski. Wierny danemu przyrzeczeniu, nie odmówił Jan III. niesienia pomocy. Na czele dwudziestu kilku tysięcy na prędcie zebranego żołnierza podążył król polski z Krakowa do Wiednia na odsiecz cesarskiej stolicy. Przeprawiwszy się przez Dunaj pod Wiedniem, połączył swe zastępy z posiłkami książąt niemieckich i objął nad zjednoczonym wojskiem chrześcijańskim naczelną komendę. Miasto Wiedeń, przez dwa miesiące osaczone przez Turków ostrzeliwane z wielu stron i podminowane, broniło już ostatecznym wysiłkiem nadwątlonych murów, kiedy rakiety, puszczane przez Sobieskiego z góry Kahlenberg pod Wiedniem, zawiadomiły obleżonych, że od tak dawna upragniona odsiecz przybywa. Nastął wreszcie pamiętny dzień 12. września 1683. r. Z rana po wysłuchaniu mszy św. kazał Sobieski wojskom niemieckim rozpocząć bitwę. Hufce polskie dopiero koło południa stanęły gotowe do walki, gdyż miały najdłuższą drogę przez Kahlenberg na plac boju. Z chwilą nadejścia konnicy polskiej postanowił Sobieski wykonać atak rozstrzygający na środek obozu tureckiego. Król przywołał do siebie rotmistrza Zbierchowskiego i wskazawszy na zdala widny namiot wezyra Kara Mustafy, rozkazał jego chorągwi husarskiej „otrzec się” o ten namiot, w którym wódz turecki, niedbale rozparty, popijał czarną kawę i leniwym okiem śledził przebieg bitwy. Na dany rozkaz zasumiały skrzydła polskich husarzy, załopotały w powietrzu barwne proporce i lotem błyskawicy, ruszyli zakuci w stal rycerze we wskazanym kierunku. W ślad za chorągwią Zbierchowskiego pchnął król resztę husary; 7.000 koni ruszyło z miejsca w długiej linii do boju. Pod atakiem polskiej konnicy rozstąpiły się szeregi wojska tureckiego. Zbierchowski zajął namiot wezyra i zdobył świętą zieloną chorągiew proroka. Zastępy tureckie, przerażone niespodziewanym atakiem na środek obozu, poczęły gromadnie uciekać z pola bitwy i wkrótce cała walka zmieniła się w sromotny pogrom Turków i zupełny tryumf wojsk chrześcijańskich. Cały obóz turecki z najróżnorodniejszymi, bogatymi zapasami stały się łupem zwycięzców. Gdy na drugi dzień po odniesionem zwycięstwie wjeżdżał Sobieski do Wiednia, cisnęła się do swego oswobodziciela ludność stolicy, całując go po rękach i nogach z wdzięczności za ocalenie. Bitwa pod Wiedniem nie tylko ocaliła stolicę cesarską od zagłady, ale raz na zawsze złamała potęgę Turków, którzy odtąd przestali być groźnymi dla Europy. Wódz turecki, Kara Mustafa, zapłacił życiem za bitwę przegraną, zginął uduszony z rozkazu sułtana; król polski zaś, posławszy papieżowi zdobytą chorągiew proroka, odniósł jeszcze kilka zwycięstw na Węgrzech nad Turkami, poczem powrócił do Polski. Niestety



Sobieski nie dożył chwili, w której Polska otrzymała z powrotem Kamieniec Podolski, zmarł bowiem trzy lata przed zawarciem ostatecznego pokoju z Turcyą. Ze śmiercią Jana III. zeszedł do grobu ostatni król-wojownik na polskim tronie. Lata ostatnie rządów oswobodziciela Wiednia nie należały do szczęśliwych. Jan III. miał żonę Francuzkę, Maryę Kazimierę, którą ubóstwiał i pieśczośliwie nazywał Marysienką. Swojem zachowaniem się w Polsce przypominała „Marysienka“ poniekąd królowę Bonę, gdyż, podobnie jak Bona, mieszała się we wewnętrzne sprawy państwa i sprzedawała urzędy. Jej chciwość, kaprysy i knowania w łonie własnej rodziny dały się bardzo we znaki królowi, a nawet miały ten skutek, że zniechęcona do rodziny Sobieskich szlachta powołała po śmierci Jana III., z pominięciem jego synów, obcego księcia na tron polski.

Tadeusz Kościuszko.

Czyż może być coś bardziej zajmującego i pożyteczniejszego, jak poznawać szczegóły z życia bohaterów narodowych lub odświeżać sobie w pamięci obraz ich cnót i zasług? Rozpamiętywając ich żywot, doznajemy nieraz miłego złudzenia, jakoby znikła dzieląca nas od nich przestrzeń czasu, a my jakobyśmy mieli to szczęście twarzą w twarz ich spoglądać i z nimi rozmawiać.

W rzędzie tych mężów, co za kraj swój znosili rany, niewolę, byle go tylko dźwignąć i uratować od upadku, pierwsze miejsce zajmuje Tadeusz Kościuszko. Urodził się on dnia 12. lutego 1746. r. na Litwie we wsi Mereczowczyźnie, którą ojciec jego trzymał w dzierżawie. Choć w miernym zrodzony stanie, zacnością duszy i wielkością zasług wzniosł się tak wysoko, iż naród nasz widzi w nim jednego z pierwszych swoich synów, a imię jego jaśnieć będzie zawsze niezatartym blaskiem na kartach dziejów polski. Pierwsze nauki wojskowe pobierał w sokoie kadetów, założonej w Warszawie przez króla Stanisława Augusta, do której samych tylko najzdolniejszych i najpilniejszych młodzieńców po ukończeniu ówczesnych gimnazyów przyjmowano. Tutaj tak się odznaczył w naukach, że go książę Adam Czartoryski, brat cioteczny króla, a tej szkoły opiekun, własnym kosztem wyprawił do Paryża na dalszą naukę. Skończywszy i tam chlubnie przepisane nauki wrócił Kościuszko do Polski, gdzie zaciągnął się do wojska i otrzymał odrazu stopień kapitana. Rozpoczął się był wtedy właśnie w Ameryce północnej bój o wolność tamtejszych mieszkańców, uciskanych przez Anglików. Ponieważ w Polsce panował wówczas pokój, mógł przeto Kościuszko poświęcić tymczasem swój oręż sprawie, wprawdzie obcej, lecz równie świętej. Pośpieszył

więc do Ameryki i tam, walcząc przy boku naczelnego wodza Jerzego Washingtona jako jego adjutant męstwem swem i zasługami wojskowemi zjednał sobie cześć powszechną i miłość. Posuwał się też szybko ze stopnia na stopień, a po szczęśliwym ukończeniu wojny otrzymał w nagrodę zasług wysoki order, stopień generała, dobra w ziemi i wynagrodzenie ze skarbu publicznego. Kościuszko jednak poprzestał na odznakach honorowych, t. j. na stopniu i orderze, dobra zaś i pieniądze przeznaczył na założenie szkoły wojskowej i na wykupienie z niewoli pewnej liczby niewolników murzyńskich; człowiek bowiem szlachetny nie szuka wynagrodzenia za czyny swoje, dość mu na tem, że się przyczynił do uszczęśliwienia swoich bliźnich; najmilszą dla niego nagrodą własne przeświadczenie, że wykonał, co należało, i tak, jak był powinien.

Po skończonej wojnie stęskniony za ojczyzną Kościuszko wrócił do Polski, gdzie wkrótce otwarło mu się pole działania. Sejm wielki, pracujący około odrodzenia Polski, ogłosił właśnie wielkopomną konstytucję 3. maja 1791. roku, która wprowadzona w życie, byłaby zapewniła krajowi pomyślny rozwój i poważanie u państw postronnych. Aby tego nie dopuścić Rosyanie wypowiedzieli Polsce wojnę i z wielkim wojskiem wkroczyli w jej granice. Naczelnym wojsk polskich wodzem w tej wojnie był, później tyle wsławiony, książę Józef Poniatowski, synowiec króla Stanisława Augusta. Był to wówczas młody człowiek, pełen wprawdzie odwagi i zapału, lecz nie mający doświadczenia w prowadzeniu wojny. Pod jego komendą dowodził Kościuszko lewem skrzydłem armij i nieraz przytomnością umysłu i zręcznością obrotów przyczynił się znacznie do odnoszenia nad nieprzyjacielem korzyści, a zwłaszcza wsławił się w bitwie pod Dubienką. Kiedy jednak król uległ obietnicom Rosyi i zgodził się na drugi rozbiór kraju, Kościuszko wraz z innymi przyjaciółmi broni wyjechał za granicę.

Zwycięzcy Rosyanie postępowali sobie teraz w Warszawie samowolnie i gospodarowali jakby we własnym kraju. Uciskani Polacy oburzyli się na te bezprawia, przygotowali się więc do powstania i wezwali Kościuszkę na naczelnika. W marcu 1794. przybył Kościuszko do Krakowa, gdzie publicznie na rynku złożył narodowi przysięgę i wezwał lud wiejski do obrony kraju, przyrzekając mu wolność po oswobodzeniu ojczyzny. Tłumnie śpieszyli chłopci z kozami na sztorc wbitemi w szeregi naczelnika, który krakowską przywdział sukmanę i tem sobie lud wszystkich ujął za serce; w tej powierzchownej odznace bowiem upatrywał lud poszanowanie naczelnika dla włościańskiego stanu, to też ufał jego przyrzeczeniu. Już dnia 4. kwietnia w bitwie pod Racławicami odniósł Kościuszko na czele szczupłego wojska i kosynierów sławne zwycięstwo. Na jego odgłos zapał narodu szerzyć się począł w całym kraju. Rozpacзлиwa to jednak była wojna. Ze wszech stron ciągnęły bowiem wielkie siły nieprzyjacielskie, by ostateczny cios zadać walce narodowej. Chcąc nie dopuścić połączenia się

z sobą dwóch wojsk rosyjskich, wdał się Kościuszko w bitwę pod Maciejowicami, niedaleko Warszawy. Nie pomogło męstwo garstki Polaków; większa ich część zginęła śmiercią walecznych na polu bitwy, a Kościuszko ciężko ranny, znaleziony bez przytomności na poboju, wzięty został do niewoli wraz z wielu znakomitymi Polakami wywieziony do Petersburga.

Cesarz rosyjski, Paweł następca Katarzyny, ceniąc w Kościuszcze szlachetne poświęcenie się dla ratowania ojczyzny, zaraz po swoim na tron wstąpieniu obdarzył go wolnością. Kościuszko po dwuletniej niewoli znękanym cierpieniami i żalem po stracie ojczyzny, udał się do Ameryki, aby wspomnieniami z lat młodszych a pełnych sławy pokrzepić skołatany umysł. Wkrótce jednak wrócił do Europy, gdzie zamieszkał naprzód we Francji, później w Solurze w Szwajcaryi przy zacnej rodzinie Zellnerów, do której się przywiązał nierozrywany węzeł przyjaźni. W tym zacisznym ustroniu przepędził ostatnich kilkanaście lat życia. Cały sposób życia Kościuszki był zawsze umiarkowany, pokarm nie wykwinny, a ubiór prosty. Jedyną ozdobą jego codziennego ubioru był gwoździk ulubiony, wetknięty w dziurkę od guzika prostej granatowej kaptoty. Mieszkańcy Solury, wiedząc o tem upodobaniu jego do gwoździków, ubiegali się w pielęgnowaniu tych kwiatów, tak, że nawet w zimie otrzymywał codziennie świeży pączek gwoździkowy. Oprócz kwiatów, które pielęgnował na grządkach, własnymi uprawianych rękami, kochał staruszek dzieci i otaczał się ich gromem. Znany był Kościuszko ze swej dobroczynności. Codziennie wyjeżdżał konno i odwiedzał w okolicy miasta jakiego ubożego lub chorego, co potrzebował wsparcia lub pomocy. Nigdy też nie ominął ubożego bez ofiarowania mu jałmużny. Koń nawet jego tak był już do tego przyzwyczajony, że spotkawszy żebraka, sam stawał i póty się nie ruszył z miejsca, póki ubogi nie otrzymał datku.

W październiku 1817. r. zachorował Kościuszko i nie powstał już z łoża. Czując się bliskim śmierci, kazał sobie podać pałasz, którym dowodził pod Racławicami; wzniosł go po raz ostatni w górę ze łzami w oczach i prosił, by go z nim razem włożono do trumny.

Umarł dnia 15. października 1817. Zwłoki jego sprowadzono do Krakowa i pochowano w kamiennym, skromnej roboty grobowcu, ale w grobach królewskich, obok Jana Sobieskiego i ks. Józefa Poniatowskiego.

Lecz naród wzniosł mu pomnik wspanialszy i trwalszy nad wszystkie inne, usypał mu bowiem ku czci jego pod Krakowem mogiłę. Obok mogił Krakusa i Wandy przekaze ona w późne wieki pamięć czci i miłości narodu dla bohatera, który walczył za niepodległość ojczyzny.

Śmierć księcia Józefa Poniatowskiego.

Przez wiele lat nadzwyczaj szczęśliwie wiodło się Napoleonowi I. Staczał on boje z przemożnymi nieprzyjaciółmi w Europie, nawet w Afryce zwycięstwo odnosił po zwycięstwie, jedno świetniejsze niż drugie, zdawało się nawet, iż nikt go już nie pokona.

Atoli wielka wyprawa przeciwko Rosyi, w r. 1812 podjęta, skończyła się dla Napoleona straszną klęską.

Odtąd zbladła już gwiazda tego wielkiego wojownika. Przeciwnicy jego, nabrawszy teraz tem większej otuchy, połączyli się razem, ażeby korzystając ze sposobności, zadać mu cios ostateczny. Przyszło do wielkiej bitwy pod Lipskiem r. 1813, w której Napoleon musiał się bić ze wszystkimi prawie narodami Europy. Francuzi walczyli z nieustraszoną odwagą przeciw przemocy wrogów, a dzielnie dopomagali im Polacy, którzy pod wodzą księcia Józefa Poniatowskiego przez trzy dni w najzaciętszym boju zasłaniaли armię francuską od nawały nieprzyjacielskiej. To też w uznaniu waleczności Polaków w drugi dzień bitwy przesłał Napoleon księciu Józefowi gorące podziękowanie, przyczem mianował go marszałkiem Francyi.

Atoli pomimo tak wielkiego męstwa musiały się wojska francuskie cofnąć przed przemagającymi siłami nieprzyjacielskimi. Ustupując polecił Napoleon księciu Józefowi, aby zasłaniał odwrót armii francuskiej. Książę chlubnie wypełnił polecenie cesarza, wspierany nadludzkim prawie męstwem Polaków.

Pod naciskiem nieprzyjaciela dotarło wojska polskie do rzeki Elstery. Tutaj niespodziewana czekała ich przeszkoda: Francuzi, przeprawiwszy się sami, w zamieszaniu bitwy zawczasie za sobą wysadzili most w powietrze. Nie pozostawało tedy Polakom nic innego, jak przeprawić się w pław przez rzekę.

Wezbrane właśnie nurty rzeki były gwałtowne i spienione, dno jej nadzwyczaj było głębokie, a brzeg bardzo stromy i urwisty.

— Naprzód, bracia! — krzyknął książę Józef do towarzyszy, spał konia i skoczył w bystre fale Elstry. Lecz niebawem osłabł koń księcia, nie mógł utrzymać się na powierzchni wody. Rwący prąd wody pochwycił dzielnego wodza. Chwilę jeszcze trzymał się książę nad wodą, jeszcze resztek sił dobywał, aby się ocalić; lecz wszelkie jego usiłowania były daremne — prąd rzeki porwał go gwałtownie i pochłoniął.

Dopiero w kilka dni znaleziono zwłoki walecznego księcia. Smutek i żal po nim był niezmierny. Towarzysze ze skrwawionem sercem opłakiwali swego ukochanego wodza, a ziemia ojczysta wydała jęk boleści nad grobem jednego z najwaleczniejszych swych synów.

Zwłoki jego przywieziono do kraju i złożono w grobach królewskich na Wawelu, obok zwłok Sobieskiego.

Legiony.

Większość Polaków nie mogła się po upadku Polski w żaden sposób pogodzić z myślą, że ich ukochana ojczyzna tak nagle żyć przestała. Do rzędu tych ludzi, którzy jeszcze nie tracili nadziei, że drogą walki orężnej uda się przecież wyzwolić Polskę z pod przemocy sąsiadów, należał generał Jan Henryk Dąbrowski, znany z czasów powstania Kościuszki. Chodziło o sprzymierzenia, któryby Polakom w tej walce chciał dopomóc. Takim naturalnym sojusznikiem Polaków mogła być wówczas Francya, która po krwawej rewolucyi, straciwszy króla swego z tronu, wiodła wówczas bój zażarty z temi właśnie państwami, które Polskę rozebrały.

Do kwatery generała francuskiego, Napoleona Bonapartego, który w Lombardyi, we Włoszech, odniósł szereg świetnych zwycięstw, zgłosił się w rok po ostatnim rozbiórce Polski Dąbrowski z prośbą, aby Francya przyjęła do służby w swem wojsku Polaków. Za zezwoleniem rządu francuskiego przystał Napoleon na prośbę generała Dąbrowskiego i pozwolił zbierać się w Lombardyi tym Polakom, którzy walczyć pragnęli przeciwko wspólnym wrogom. By ściągnąć do wojska polskiego jak największą liczbę rodaków, wydał Dąbrowski do ziomeków odezwę tej treści: „Polacy, nadzieja powstaje. Francya zwycięża. Ona się bije za sprawę narodów. Legiony formują się we Włoszech, na tej ziemi, niegdyś świątyni wolności. Już oficerowie i żołnierze, towarzysze trudów waszych i męstwa, są ze mną, już się bataliony formują. Przybawajcie, koledzy, rzucajcie broń, którą was nosić przymuszono. Bijmy się za sprawę wspólną wszystkich narodów, za wolność, pod walecznym Bonapartem, zwycięzcą Włoch. Tryumfy Rzeczypospolitej francuskiej są jedyną naszą nadzieją. Za jej sprawą i jej sprzymierzyńców może jeszcze zobaczymy domy nasze, któreśmy z rozrzewnieniem porzucili.“

Odezwa ta nie pozostała bez skutku. Wkrótce około 1.000 ludzi stanęło gotowych do boju pod rozkazami Dąbrowskiego. Nowe wojsko polskie otrzymało nazwę: polskie legiony posiłkowe. Już z wiosną 1797. r., a więc w niespełna dwa lata po upadku Polski, wyrosły jakby z pod ziemi wojska polskie u stóp śnieżnych Alp, na żyznych równinach Lombardyi. Żołnierze ci, polskiej słuchający komendy i w polskie przybrani mundury, na których naramiennikach widniał napis: „Ludzie wolni są braćmi“, wierzyli święcie, że im Francya za krew, w jej służbie przelaną zapłaci odbudowaniem Polski.

Organizatorem wojsk polskich na obczyźnie, duszą legionów był generał Dąbrowski. Sprzedał on nawet swój rodzinny majątek w kraju, aby pieniędzy, uzyskanych ze sprzedaży ojcowizny, użyć na potrzeby śpieszących pod jego rozkazy Polaków. Marzył Dąbrowski, że uda mu się podczas walki Napoleona z Austrią przedrzeć się z hufcami polskich legionów przez Węgry, dotrzeć do Galicji i tu, na ziemi rodzinnej rozpocząć bój o Polskę. Niestety, nadzieje te wówczas zawiodły. Zwycięski Napoleon zawarł niespodzianie z Austrią pokój, zaszczepny dla Francji, ale o Polakach w pokoju tym nie wspomniano wcale. Mimo to wytrwali polscy żołnierze w służbie Francji, nie tracąc nadziei lepszych czasów. A służba to była niezwykle ciężka. Z rozkazu Francji musiały polskie legiony zdobywać Rzym, Neapol, i uśmierzać bunt w południu we Włoszech.

W roku 1799 wybuchła nowa wielka wojna przeciwko Francji. Była ona tem groźniejsza dla Francuzów, że brakło wówczas Napoleona, którego rząd francuski wysłał daleko na Wschód na podbój Egiptu. Legionistów, których było wtedy już 6.000, odwołano z Włoch południowych na pomoc Francuzom przeciwko nadciągającym wojskom austriackim i rosyjskim z Suwarowem na czele, okrutnym zdobywcą Pragi. Polscy żołnierze z radością pośpieszyli na północ Włoch; ponownie ożyły nadzieje, że chwila powrotu do ojczyzny po latach tułaczki niedaleka. W tych dniach i radości wielkiej i większych jeszcze nadziei powstała we Włoszech pieśń nieśmiertelny mazurek Dąbrowskiego: „Jeszcze Polska nie zginęła Marsz, marsz, Dąbrowski, z ziemi włoskiej do Polski.“ W takt tego mazurka ruszały w bój przeciwko wrogom oddziały polskich żołnierzy; wśród dźwięków pieśni, tak drogiej każdemu Polakowi, pochylały się do ataku ostrza bagnętów.

A jednak mimo nadludzkich wysiłków legionistów była walka z przemożnymi siłami Rosji i Austrii tak dla Francuzów, jak i dla Polaków niepomysłna. Kilka tysięcy Polaków poniosło śmierć bohaterską w bojach na nizinie Lombardji i w górach Szwajcaryi, dokąd przeniosła się walka; zmalała znacznie liczba legionistów, sam generał Dąbrowski był ranny. Straty te wywołały wielkie zniechęcenie wśród Polaków. Krzepił ducha ich niestrudzony Dąbrowski; niecierpliwie czekał on na powrót Napoleona, wierząc, że z jego przybyciem wojna inny obrót wziąć musi. I ziściły się nadzieje Dąbrowskiego. Napoleon wrócił z Egiptu, stanął na czele wojsk francuskich, a ceniąc męstwo Dąbrowskiego, dał mu pieniądze potrzebne na żołd, broń i umundurowanie legionistów, w których szeregi przybywali znowu Polacy. Pozwolił nadto Napoleon na utworzenie nowego legionu na północ Alp, t. zw. legionu naddunajskiego, a naczelnym wodzem tych nowych polskich zastępów mianował generała Kniaziewicza, który się wstawił przedtem jako dowódca jednego z włoskich oddziałów.

I znowu zatym na obcych ziemiach, zdala od ojczyzny stały gotowe do nowej walki polskie zastępy. Gdy oręż Dąbrowskiego we Włoszech pomagał Napoleonowi w zwycięskich jego pochodach, przyczynił się głównie legion Kniaziewicza do zwycięstwa Francuzów w Niemczech w krwawej bitwie pod Hohenlinden (nad Dunajem). Jednak Napoleon nie pozwolił na połączenie się razem wszystkich trzech legionów, których liczba żołnierzy wzrosła wówczas do 15.000, nie chciał Polakom zezwolić na wspólny marsz do Polski. Gdy wieść się rozeszła, że Napoleon z Austrią zawarł nowy pokój i że Polakom pomagać nie myśli, rozpacz ogarnęła legionistów. Wielu z oficerów, oburzonych na Napoleona, porzuciło niewdzięczną służbę na obczyźnie; stopniały też legiony, których znaczną część wcielił Napoleon wprost do wojska francuskiego. Pięć i pół tysiąca Polaków wysłał nawet Napoleon na wojnę za ocean, na wyspę San Domingo (Haiti), która powstała przeciw francuskiemu rządowi. Straszny był los tych biedaków, wysłanych za morze. Wielu zginęło w walce z tamtejszymi murzynami, większość padła ofiarą żółtej febry, wylądowawszy na niezdrowej wyspie, zaledwie trzystu ludzi wróciło do Europy.

Smutny był koniec legionów, a jednak krew ich ofiarna nie była przelana nadarmo. W szeregach legionistów wykształcił się cały zastęp znakomitych oficerów, którzy potem oddali ojczyźnie ważne usługi. Bohaterskie walki żołnierzy-tułaczy i ich pełna poświęcenia służba dla sprawy ojczystej krzepiły ducha narodowego Polaków we wszystkich trzech zaborach. Wreszcie i Napoleon nagrodził Polaków za usługi, oddane Francyi, choć nastąpiło to nie tak prędko i nie tak hojnie, jak tego spodziewali się Polacy. Napoleon rozgromił Prusy w krwawej bitwie pod Jeną i zawarł pokój w Tylży (w r. 1807). W pokoju tym utworzył z ziem, zabranych Polsce przez Prusy w drugim i trzecim rozbiórce Polski, Księstwo Warszawskie, które oddał Polakom jako początek przyszłej niepodległej Polski. Tak spełniły się w części przynajmniej nadzieje i marzenia żołnierzy-tułaczy, zawarte w pieśni legionów: „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę... Marsz, marsz, Dąbrowski, z ziemi włoskiej do Polski!”

Wybuch powstania listopadowego.

Dnia 29. listopada 1830 r. wieczorem ukazała się na Solcu, przedmieściu warszawskim, łuna pożaru; ktoś podpalił browary. Wkrótki czas potem uderzono w pobliskich koszarach wojskowych na alarm pożarowy. Pożar na Solcu był umówionem hasłem powstania w Warszawie.

Warszawa była stolicą tej części Polski, która jako t. zw. Królestwo Polskie, utworzone na Kongresie wiedeńskim (stąd zwane także Kongresowem), złączona została z Rosyą. W myśl uchwał Kongresu car rosyjski miał się koronować na króla polskiego. Królestwo otrzymało swą własną konstytucyę, osobny sejm i wojsko własne. Pierwsze chwile istnienia Królestwa Kongresowego, gdzie Polacy w porównaniu z innymi zaborami znaczne posiadali swobody, były dla rozwoju tego kraju pomyślne; przemysł, handel i rolnictwo zaczęły rozkwitać w całej pełni. Dopiero kiedy namiestnikiem Królestwa został brat ówczesnego cara, Mikołaj I., w. ks. Konstanty, człowiek brutalny, nie szanujący praw polskich, zaczęły się w kraju tworzyć spiski celem pozbycia się opieki rosyjskiej i odzyskania prawdziwej wolności.

Szczególnie niezadowolenie z rządów rosyjskich panowało w kołach wojskowych. Wielki książę był rozmiłowany w swem wojsku, lubował się widokiem ćwiczeń i parad wojskowych, urządził nieustanne musztry i popisy. Za najłżejsze uchybienie karności wojskowej, za źle przyszyty lub źle wyczyszczony guzik karano więzieniem. Brutalnie znieważać żołnierza w czasie przeglądu armii było u Konstantego rzeczą najzwyczajniejszą, powtarzającą się niemal codziennie. Bolało to żołnierzy polskich, krew się w nich burzyła na widok tego tyrana, co deptać śmiał ich honor i godność ludzką.

Wobec ogólnego niezadowolenia w kraju ciągle mnożyły się spiski. Policja śledziła nieustannie wszystkich podejrzanych i udało jej się wreszcie dostać w swe ręce przywódcę spisków, Łukasieńskiego, i dwu jego towarzyszy. Po dwuletnim więzieniu, w którym nadaremnie za pomocą turtur starano się wymusić na Łukasieńskim wydanie reszty spiskowców, oddano więźniów pod sąd wojskowy, który ich skazał na 9 lat ciężkiego więzienia. Aby zaś dać odstraszący przykład wszystkim, którzyby chcieli wstąpić w ślady Łukasieńskiego, nakazano, by zdarcie szlifów wojskowych z Łukasieńskiego i jego towarzyszy odbyło się publicznie. Los Łukasieńskiego nie odstraszył jednak nikogo; przeciwnie, Łukasieński stał się bohaterem narodowym, a pójsćie w jego ślady było odtąd marzeniem, zwłaszcza młodzieży.

Główną siedzibą spisków w Królestwie stała się szkoła podchorążych w Warszawie. Szkoła ta mieściła się w jednej z oficyn pałacu, zwanego łażienkowskim. Konstanty z zadowoleniem śledził postępy tych młodych żołnierzy, którzy odznaczali się nie tylko gorliwością w nauce, ale też wielką biegleścią w robieniu bronii. Nie przypuszczał, że ma pod boki najstrasniejszych wrogów, wśród których także szerzą się spiski i nurtuje myśl oswobodzenia ojczyzny drogą powstania. Naczelnikiem spisku podchorążych był podporucznik grenadyerów gwardyi, a zarazem nauczyciel w szkole podchorążych, Piotr Wysocki. Za jego sprawą poczęła wtajemniczona część wychowanków szkoły czynić przygotowania do powstania. Rozrzucano między ludność warszawską odezwy, zapowia-

jące, że gotują się ważne wypadki. Na bramach Belwederu, pałacu, w którym mieszkał w. ks. Konstanty, co pewien czas przypielano kartkę z napisem: „Mieszkanie do wynajęcia“, co miało oznaczać, że wielki książę w pałacu tym niedługo już przebywać będzie.

Na wybuch powstania naznaczono dzień 29. listopada, a hałem miał być pożar browaru na Solcu o godzinie 6. wieczorem, poczem sprzysiężeni mieli zapalić dwie drewniane budowle na innym przedmieściu warszawskim, na Nowolipiu. Wówczas jedna część sprzysiężonych miała pochwycić wielkiego księcia, druga zaś rozbroić wojska rosyjskie, poruszyć lud i zgromadzić wojska polskie na umówionym miejscu. Tymczasem pożar na Solcu, wzniecony za wcześnie, zgasł już przed godziną 6. Zbiegła się straż pożarna, która zmusiła spiskowców, lękających się rozbudzić podejrzenie, do rozejścia się. Gdy znów cisza zaległa przedmieście, zesłali się ponownie spiskowcy na moście łazienkowskim, wyciekając niecierpliwie łuny pożaru z Nowolipia. Wobec tego jednak, że pożar Solca zgasł przedwcześnie, na Nowolipiu znaku nie dawano. I tak na gorączkowym oczekiwaniu mijała chwila za chwilą. Dopiero Wysocki, zrozumiałwszy, co się stało, zgromadził spiskowców i kazał im rzucić się na Belweder.

Wielki książę spał. W tem od bramy frontowej rozległy się krzyki, zadźwięczały szyby dolnych okien, wybite kolbami, runęły główne drzwi pod uderzeniami karabinów. Oddział spiskowców dostał się do wnętrza. Z okrzykiem „Śmierć tyranowi!“ wpadli podchorążowie z Niebielakiem na czele do pałacu. Carewicza jednak nie pochwyciono. Ocalony przez kamerdynera, umknął on szczęśliwie. Wysocki tymczasem wszedł do szkoły podchorążych i dobywszy szpady zawołał: „Polacy, godzina zemsty wybiła; dziś zwyciężymy albo polegniemy!“ Okrzykiem radości przyjęli te słowa podchorążowie, chwycili karabiny, rozebrali ostre ładunki, wypadli ze szkoły i w mgnieniu oka sformowali się w szyk bojowy. Z nimi połączyły się wojska polskie, wobec czego pułki rosyjskie opuściły Warszawę, opuścił ją też wielki Książę Konstanty.

Tak rozpoczęło się powstanie, znane od miesiąca, w którym wybuchło, listopadowem. Na prędcie utworzony Rząd Narodowy mianował naczelnikiem powstania generała napoleońskiego, bocha-tera z pod Saragossy, Chłopickiego.

Bitwa pod Grochovem.

Niespełna trzy miesiące upłynęły od pamiętnej nocy listopadowej, gdy z rozkazu cara Mikołaja ruszyła olbrzymia, 200-tysięczna armia z 600 armatami na poskromienie „zbuntowanego narodu“

W Polsce generał Chłopicki, wybrany wodzem, uznając potrzebę silnej i sprężystej władzy, ogłosił się dyktatorem. Naród z ufnością patrzył na wspaniałą postać rycerską Chłopickiego; dawna sława wodza wlewała w serca wszystkich otuchę i wiarę, że powstanie się powiedzie. Chłopicki jednak sam w powodzenie powstania niebardzo wierzył, pragnął raczej układów z Rosyą. W tym celu wysłał on poselstwo do cara Mikołaja I., by rozpocząć z Rosyą układy.

Na wyczekiwniu odpowiedzi od cara mijały dni i tygodnie, co pozwoliło wrogowi zgromadzić siły. Nareszcie wróciło poselstwo, wysłane do Petersburga. Car o żadnych układach słyszeć nie chciał, lecz żądał bezzwłocznego poddania się Polaków na łaskę i niełaskę. Gdy zdano sprawę z tego poselstwa na sejmie, oburzony sejm złożył cara Mikołaja z tronu. Po tej uchwale sejmu nie pozostawało już nic innego, jak stoczyć walkę z przemożnym wrogiem.

Na czele armii rosyjskiej stał stary, w boju doświadczony generał, Dybicz. Był on przekonany, podobnie jak większość towarzyszących mu generałów, że w niespełna dwa tygodnie zgniecie „bunt polski“. Przez Litwę zdążyła armia rosyjska ku Warszawie. Pierwsze spotkanie obu wojsk pod Stoczkiem wypadła dla Polaków korzystnie. Generał Dwernicki rozbił spory oddział nieprzyjacielski, wziął wielu jeńców i 11 armat. Bitwa ta i kilka potyczek następnych przekonały Dybicza, że walka nie będzie łatwa, że zwycięstwo drogo okupić przyjdzie.

Armia rosyjska zamierzała dostać się do ogniska powstania, do Warszawy i zająć ją. Drogę do stolicy zagrodziło jej wojsko polskie koło Grochowa. Polacy zajęli bagnistą równinę, oblaną z jednej strony Wisłą, a z drugiej strony przypierającą do lasu olszynowego. Przez ten lasek szła droga do stolicy; chcąc więc dostać się do Warszawy przez Pragę, trzeba było zdobyć „Olszynkę“. Chłopicki postanowił bronić Olszyny do upadłego.

Dnia 24. lutego (r. 1831) rozpoczęła się walka. Zrazu prowadzono ją na lewym skrzydle polskim. Moskale zmuszeni zostali dnia tego do odwrotu. Dnia następnego od rana armaty rosyjskie ostrzeliwać poczęły Olszynkę. Rzęsistym a celnym ogniem przywitały Rosyan polskie szeregi. Kilkakrotnie ponawiane ataki ze strony wojsk nieprzyjacielskich dzielnie odpierali żołnierze polscy. Coraz to nowe zastępy na obronę Olszyny słał Chłopicki. Przy dźwiękach ukochanej pieśni legionów, pewni i nieustraszeni, rzucili się grenadyerzy polscy na wroga. Huk armat mieszał się z jękami rannych, dźwiękami pieśni i raz po raz rozlegającymi się okrzykami: „Wiwat wolna ojczyzna! Wiwat dyktator Chłopicki!“ Trupy zasłały pobojo-wisko, ale Polacy ani myśleli o cofaniu się. Gdzie najgorętsza wrzała walka, tam widniała postać Chłopickiego. Płaszcz jego poszarpały kule, ubito pod nim dwa konie, ale on na nic nie zważał; jedyną jego myślą było nie dać Olszyny, więc nieustraszony, wśród gradu kul zachęcał swoich do wytrwania.

W drugiej stronie lasku walczył tymczasem Skrzynecki i Bogusławski na czele IV. pułku piechoty. Pułk ten odznaczył się wówczas tak bezprzykładną walecznością, że zyskał sobie nieśmiertelną sławę nie tylko wśród swoich, ale i u obcych. Pieśni do dziś śpiewamy o bohaterskich czynach „czwartaków“ (Tysiąc walecznych opuszcza Warszawę...). Z bagnietami rzucili się czwartacy na wroga i zmusili Rosyan do ucieczki. Olszynka była uratowana.

Za pierzchającymi Moskalami puściło się w pogoń wojsko polskie. Wtem granat uderzył w konia, na którym siedział Chłopicki. Na chwilę dym wszystko przysłonił, a gdy znikły kłęby dymu, oczom walczących ukazał się okropny widok. Obok rozszarpanego konia leżał krwią zlany Chłopicki, z poranionemi obiema nogami. Na prędcie zrobiono nosze i uniesiono rannego z pola walki. Mimo strasznych cierpień nie zapomniał Chłopicki o obowiązkach wodza i nieustannie powtarzał do otaczających go: „Nie dajcie Olszynki!“ Wobec ciężkich ran wódza zaniechano dalszego ścigania wojsk rosyjskich.

Bitwa pod Grochowem wstrzymała Moskali w pochodzie na Warszawę, przyniosła jednak Polakom tę stratę, że pozbawiła ich wodza. Ranny Chłopicki złożyć musiał dowództwo. Odtąd zmieniali się w powstaniu naczelní wodzowie, ludzie przeważnie niezdolni. — Rozstrzygająca dla powstania listopadowego była dwunastogodzinna bitwa pod Ostrołęką (nad rzeką Narwią), a ta skończyła się klęską Polaków. Rosyanie ruszyli na stolicę.

Mimo bohaterskich wysiłków mieszkańców, miasto obronić się nie zdołało. Nieprzyjaciele zdobyli okopy polskie, w których obronie legł dzielny generał Sowiński, i stolica wpadła w ręce wrogów. Przemoc rosyjska zwyciężyła na całej linii, a wszelkie rachuby Polaków na pomoc zagranicy w zupełności zawiodły.

Dnia 8. września 1831. r. wkroczył zwycięski wódz rosyjski, Paskiewicz, do Warszawy. Doniósł o tem carowi w krótkiej, jędrnej nocie: „Warszawa u stóp Waszej Cesarskiej Mości. Pysyłam skrzynkę z nieboszczką konstytucją.“ Rzeczywiście umyślnie do Petersburga wysłany kurier przywiózł obok wiadomości o zgnieceniu powstania dokument konstytucyi Królestwa, nadanej Polakom po Kongresie wiedeńskim.

Zwycięski car Mikołaj I. rozpoczął teraz w pokonanym kraju surowe rządy. Uczestników powstania skazywano na śmierć, lub też gromadnie wywożono na Sybir. Zniesiono sejm polski, wojsko polskie, uniwersytety w Warszawie i Wilnie; powoli zaczęto wprowadzać język rosyjski jako urzędowy w Królestwie. — Wobec takich stosunków setki ludzi zaczęły opuszczać kraj rodzinny i wyjeżdżać za granicę. Tam za granicą, zwłaszcza we Francyi, przyjmowano emigrantów polskich bardzo gościnnie. Do Francyi schronili się podówczas nasi najwięksi poeci: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, tam też gościnny przytułek znajdowali ci wszyscy, którzy z upragnieniem oczekiwali chwili, kiedy przecież uda się narodowi polskiemu zrzucić z siebie pęta niewoli. Śledzili więc

pilnie emigranci na wygnaniu wszystkie ważniejsze wypadki w Europie, któreby w czemkolwiek wpłynąć mogły na losy ujarzmionej Polski.

Sokrates i uczniowie.

Sokrates zasłynął w całej Grecji jako filozof, to też zewsząd zgłaszali się doń uczniowie. Pewnego dnia przybyło ich kilku od razu. Przed rozpoczęciem nauki mistrz, jak to było jego zwyczajem, wdał się w rozmowę, aby wybadąć serca i wiedzę młodzieńców, powierzonych jego pieczy. Zaraz też ujawniły się różne odrębne cechy każdego. Jeden z wielką żywością opowiadał, jakie dla nauki poniósł ofiary. Inny chciał popisywać się tem, co już umiał. Ów szeroko wyłuszczał pokrewieństwo swe ze znakomitymi rodami, tamten znowu przechwalał się bystrością umysłu, podziwianą w kole rodzinnem. Słowem, każdy czynił wszelkie możliwe wysiłki, aby wobec mistrza przedstawić siebie w świetle jak najkorzystniejszym. Jeden tylko z nowoprzybyłych milczał. W kącie zasiadłszy, bacznie chytał każde słowo, zwłaszcza wyrzeczone przez Sokratesa, sam zaś nic nie mówił. „Alcybiadasie” — zwrócił się Sokrates po odejściu uczniów do przyjaciela, który wszędzie mu towarzysząc, był także świadkiem opowiedzianej rozmowy. — „Co sądzisz, Alcybiadasie, o tych młodzieńcach?” — Zapytany zawahał się. — „Sam zwracałeś mi uwagę,” — odparł wymijająco — „jak trudno wyrokować o ludziach na podstawie pierwszego wrażenia.” „A jednak” — filozof rzecze — „w tym wypadku śmiało twierdzić można, że jeden pomiędzy nimi jest mądry.”

„Kogoż takim mienisz? Czy Eubejczyka, który chciał ci wyrecydować całą Iliadę? A może młodzieńca z Focydy, znakomitego pochodzenia, lub też samochwalcę z Delos?” — „Nie! Tego tam w kącie.” — „Ależ on ani słowa nie przemówił!” — „Właśnie dlatego. Wiedz bowiem, Alcybiadasie, i zapamiętaj to dobrze: wiele jest rzeczy, których głupiec nie umie, ale ta z wszystkich niezawodnie najważniejsza, że nie umie milczeć.” —

Choroba.

Tego dnia pogoda była ohydna. Padał deszcz pomieszany z śniegiem i rano było tak ciemno, że Kazik pił pierwsze śniadanie przy świetle. Parzył sobie usta herbatą, gdyż ze wstawaniem ociągał się do ostatniej chwili, potem strasznie długo ubierał się i gdy wreszcie przyszedł do stołowego pokoju, było już

pół do ósmej. Do wyjścia z domu pozostawało zaledwie pięć minut czasu. Z ponurą miną zasiadł przy stole i, pijąc śniadanie, równocześnie gorączkowo przerzucał kartki w gramatyce łacińskiej, którą oparł o cukierniczkę, aby mu wygodniej było czytać. Wiedział, że na pewno dziś będzie odpowiadał z łaciny i z tego powodu postanowił być nawet o godzinę wstać wcześniej, niż zwykle, bo rozumował, że „rano, na świeżo“ będzie mu łatwiej nauczyć się lekcji, niż wieczorem. Tak się jednak fatalnie złożyło, że jak na złość zasnął i wstał znacznie później. Na domiar złego łacina była pierwsza i na to, żeby podczas pauzy choć coś przeczytać, nie można było wcale liczyć. Był jeszcze niewyspany, litery tańczyły mu w oczach, wkońcu to tylko zrozumiął, że już ani starej lekcji nie powtórzy ani nowej się nie nauczy Melancholijna jego zadumę przerwał głos matki:

— Kazik, bo spóźnisz się Już dziesięć po pół do ósmej!

— Niech mi mamusia da dziesiątaka na zeszyt — odezwał się grubym, chrapliwym głosem.

— Jak ty mówisz?

— Bo ja mam chrypkę — odparł, nadymając gardło, aby pogrubić głos jeszcze bardziej,

— Nie masz wcale chrypki — odezwała się ostro matka — i proszę cię, nie udawaj. A na zeszyt dostałeś wczoraj.

Wnioskując z tej odpowiedzi, że jego sprawa jest już na całej linii przegrana, Kazio manifestacyjnie zimno pocałował matkę w rękę i ruszył do przedpokoju po płaszcz. Gorycz napełniała mu duszę. Bo to, że był chory, nie ulegało najmniejszej wątpliwości: przedewszystkiem już wczoraj wieczorem nie mógł się wcale uczyć, oczy go tak bolały, że liter nie widział; następnie postanowił obudzić się o godzinę wcześniej, a tymczasem zasnął, no, i wreszcie, kiedy się obudził, było mu strasznie zimno. To wszystko były symptomy jakiejś naprawdę poważnej choroby. Może tyfusu lub ospy. Na ulicy odwinął kołnierz od płaszcza naumyślnie, aby mu śniega napadało, rozpiął później cały płaszcz i przystanął przed wystawą sklepową. Ze smutnych rozmyślań zbudziło go nagle dość silne uderzenie w bok. Odwrócił się szybko i ujrzał przed sobą kolegę. Jasia Zielińskiego, którego w gimnazjum nazywano Harbuzem.

— Chodź prędko, bo już bardzo późno — zawołał Harbuz, ciągnąc go za rękaw.

Kazio machinalnie przyśpieszył kroku.

— Czegoś ty taki smutny? — dopytywał się go kolega.

— Chory jestem

— Wielka rzecz! Ja, — roześmiał się Harbuz — ja także chory, a nic sobie z tego nie robię.

I z tryumfującym uśmiechem wyciągnął z kieszeni kawałek żółtawej, pomiętej materyi. Był to plaster używany do łagodzenia kaszlu.

— Kazali mi to na piersiach nosić, — ciągnął — ale już nie noszę, bo nie cierpię tego.

— Ty nie byłeś naprawdę chory, a ja jestem.

— To wróć do domu i połóż się do łóżka.

— Stąd będę wracał?

Zbliżyli się do gmachu gimnazjalnego.

— Wielka rzecz!

— Za daleko.

— Powiedz, że się boisz.

Kazio poczerwieniał. Na taki argument należało właściwie odpowiedzieć silnem uderzeniem pięści. Ale nie podobna bić się na ulicy, prawie, że tuż koło gimnazjum. Ratując honor, odparł z rozpaczliwem postanowieniem:

— Wrócę.

— Masz, lecz się — roześmiał się Harbuz, wtykając mu swój plaster do kieszeni płaszcza.

Nieśmiało, po cichutku zadzwonił do drzwi mieszkania i kiedy służąca otworzyła mu, wszedł do pokoju z głośnym płaczem. Matka spojrzała na niego przełęczniona.

— Cóż ci się stało?

— Taki jestem chory, — wykrztusił stłumionym do płaczu głosem — tak mnie głowa strasznie boli, że nic nie widzę.

Matka położyła mu rękę na czole.

Kazio miał czoło zaczerwienione, ponieważ — idąc po schodach — tarł je bezustannie, zawczasu przewidując owe domowe oględziny lekarskie, ale niestety na nic się to nie zdało. Czoło pozostało chłodne.

— Przyznaj się od razu, żeś nie nauczył się lekcji.

— Mama zawsze.... — jęknął zbolalym głosem.

— Idź do swego pokoju!

— Ja naprawdę jestem chory.

— Zostaniesz na dyecie.

Kazio poszedł do swego pokoju, ale pomimo, że udało mu się plan swój w całości przeprowadzić, humoru nie odzyskał.

Wśród posępnycy myśli siedział sam, bo matka nie zjawiała się jakoś. Był nie tylko ciężko chory, lecz także opuszczony. Łzy zakręciły mu się znowu w oczach. Sięgnął po chustkę do kieszeni płaszcza, aby je obetrzeć, i nagle natrafił ręką na plaster, który mu wetknął Harbuz. Poczerwieniał z oburzenia, gdy wtem błyskawica genialnej myśli rozświeciła mu mózg. Uśmiechnął się tryumfująco.

Szybko rozebrał się i układał się do łóżka. Potem starannie rozprostował pomięty plaster i przylepił go na piersiach. Po pewnym czasie, gdy go ciało poczęło swędzić, przeniósł plaster na plecy. Kilkakrotnie z uśmiechem błęgiego zadowolenia powtórzał tę operację, aż wreszcie osiągnął zamierzony skutek: miał piersi i plecy pokryte drobną, czerwoną wysypką.

— Teraz przekona się mama, czy nie jestem naprawdę chory — mruknął ze złośliwą radością, zacierając ręce.

W jednej chwili odzyskał dobry humor. Niepotrzebny mu już plaster zwinął starannie w gałkę i rzucił na piec. Następnie podbiegł boso do biurka i wyciągnawszy wielki notes w ceratowej oprawie, zapisał pod odpowiednią datą: „Nie poszedłem do sztuzy“, a po chwili namysłu dodał jeszcze: „Harbuz jest błazen“. Notes ten napół zapisany był jednym z najcenniejszych jego skarbów. Zazdrościli mu go nawet koledzy. Na pierwszej stronie, wykaligrafowanej rondowem pismem, mieścił się spis dziesięciu najsilniejszych ludzi na świecie, dalej był tajny alfabet, szereg nadzwyczajnie ważnych wskazówek na wypadek rozbicia się okrętu, wreszcie stopnie, które Kazio na własną rękę dawał kolegom, ile razy odpowiadali z jakiegokolwiek przedmiotu.

Z sąsiedniego pokoju doleciał go nagle odgłos kroków matki. Jednym skokiem rzucił się napowrót do łóżka, przymknął oczy, ręce bezwładnie wyciągnął na kołdrze i skrzywił się nie-
miłosiernie, chcąc nadać twarzy wyraz najstraszliwszego cierpie-
nia. Ale matka niebardzo się temi zewnętrznymi oznakami cho-
roby przejęła.

Cóżto, do łóżka się układałeś? — odezwała się ostro.

Nic nie odpowiedział, udając, że śpi.

— Kazik — podniosła głos zniecierpliwiona.

Wówczas począł się skarżyć piskliwym głosem:

— Mama mi nie wierzy, a ja wszystkiej lekcji wczoraj do-
skonale się wyuczyłem, tylko naprawdę jestem chory. Takie ja-
kieś czerwone krostki porobiły mi się na piersiach i na plecach.

— Pokaż — przerwała mu matka zaniepokojnym tonem,
szybko zbliżając się do łóżka.

Dumnym ruchem odsłonił piersi.

Zauważył, że pobladła w jednej chwili, i to sprawiło mu
złośliwe zadowolenie. „Teraz mama wierzy, że jestem chory...“
O mało nawet głośno nie wypowiedział tej myśli.

— Obróć się.

Kazio odwrócił się posłusznie. Matka długo, bacznie, przy-
glądała się wysypce. Kazała mu potem usiąść na łóżku i sama
zapięła koszulę pod szyją. Ręce drżały jej przytem z lekka.

— Pokaż język.

Kazio niechętnie otworzył usta.

— Język masz czysty i ręce chłodne. Poczekaj chwilę.

Wyszła z pokoju.

Kazio wiedział, że poszła po termometr i miał już gotowy
plan działania. Gdy matka założy termometr pod pachę, pocznie
piszczeć, że mu się pić chce, matka wyjdzie na chwilę z pokoju,
wówczas on przytknie prędko termometr do drzwiczek pieca
i wszystko będzie w porządku. Radość z odniesionego tryumfu
psuł chłopcu tylko głód, który mu zaczynał dotkliwie dokuczać.
To było najgorsze, że choroba pociągała za sobą przykre następ-

stwa diety i na to już nie było rady. Kazio zasępił się i uczuł w duszy rodzaj żalu do Pana Boga za to, że — stworzywszy tyle chorób — nie dał ludziom ani jednej takiej, podczas której możnaby jeść wszystko.

Po chwili weszła matka napowrót do pokoju. Pochyliła się nad łóżkiem i Kazio, który znów przymknął oczy, udając gorączkową senność, uczuł nagle na ustach gorący, długi jej pocałunek. Jakieś niewypowiedziane, bolesne uczucie ścisnęło mu serce. Bał się oczy otworzyć.

— Kazik, Kazik — wyszeptwała nad nim matka cicho.

Spojrzał — i stało się w nim coś tak strasznego, że już sam nie wiedział, co. Matka miała oczy pełne łez. Chwycił ją za szyję i tuląc ją gwałtownie do piersi, wybuchnął głośnym, spazmatycznym płaczem.

— Kazik, uspokój się, dziecko moje — wołała przerażona.

A on tak się rozplakał, że ani uspokoić się ani słowa wymówić nie mógł. Po dłuższej chwili dopiero, ochłoniwszy nieco i nie zważając już na nic, wykrztusił przez łzy:

— To ja sam zrobiłem.

Włodzimierz Perzyński.

Przygoda w podróży.

(Ustęp z pamiętnika malarza.)

Zwiedzałem raz z przyjacielem moim, Świąteckim, góry wysokie. Zbłądziliśmy, nie znając drogi. Ponieważ zapadła noc i łatwo było gdzieś w przepaści życie postradać, więc Świątecki powiada do mnie:

— Słuchaj, Władek! Ciebie większa szkoda, więc ja pójdę naprzód. Jak spadnę, to posiedzisz na miejscu do rana, a rano już sobie jakoś poradzisz.

— Nie ty pójdziesz naprzód — powiadam — tylko ja pójdę, bo mam lepsze oczy. Na to Świątecki: — Ja pójdę naprzód; wszystko mi jedno, gdzie i kiedy zgine.

Zaczynamy się sprzeczać. Tymczasem robi się ciemno, jak w piwnicy. Koniec, końcem, umawiamy się, że pójdziemy na losy. Idziemy. Świątecki wyciąga węzełek i rusza naprzód. Posuwamy się przełęczę. Z początku jest dość szeroko, później coraz wężiej. O ile możemy wymiarkować, w prawo i w lewo są przepaście, pewnie bezdenne. Grzbiet staje się jeszcze węższy, a co więcej, okrucy zwietrzałych skał usuwają się nam z pod nóg.

— Idę na czworakach, bo nie można inaczej! — mówi Świątecki. Rzeczywiście nie można było inaczej, więc opuszczamy się na czworaki i idziemy dalej jak dwa szympanse. Ale wkrótce pokazuje się, że i to na nic... Grzbiet skalny robi się nie szerszy

od końskiego. Świątecki siada na oklep, ja za nim — i, opierając się rękoma przed sobą, posuwamy się naprzód... Po niejakiem czasie słyszę głos Świąteckiego:

— Władek?

— Co takiego?

— Grzbiet się skończył.

— A co dalej?

— Pusto... Musi być przepaść.

— Weźże jaki komień i ciśnij; posłachamy, czy długo leci. W ciemności słyszę, jak Świątecki szuka rękoma, by znaleźć jaki okruch zwietrzałej skały, a następnie mówi: — Ciskam... słuchaj! Nadstawiamy obaj uszu... Cisza!

— Nie słyszałeś nic?

— Nic!

— Ładnieśmy się wybrali; musi być ze sto sążni.

— Ciśnij jeszcze raz! Świątecki wynajduje większy okruch, ciska... Ani odgłosu!

— Cóż tam? dna niema, czy co? — mówi Świątecki.

— Trudna rada! Będziemy siedzieli do rana.

I siedzimy. Świątecki puszcza jeszcze parę kamieni, wszystko napróżno. Upływa jedna godzina, druga; już może być pierwsza w nocy, albo nawet i nie tyle. Zaczyna padać drobniauchny deszcz. Naokoło ciemność nieprzebita. Dochodzę do przekonania, że żyjąc między ludźmi, czy w miastach czy na wsi, nie mamy pojęcia, co to jest cisza. Ta, która nas otacza, aż w uszach dzwoni. Słyszę niemal, jak krew krąży mi w żyłach, a bicie własnego serca słyszę doskonale. Z początku położenie nasze zajmuje mnie; siedzieć jak na koniu i tuż nad niezgłębioną przepaścią, to się przecie byle komu w stolicy nie trafi, ale wkrótce robi się zimno, coraz dotkliwsze. Świątecki rzucił jeszcze parę kamieni, powtórzył jeszcze parę razy: „Ani słychu!” i odtąd milczeliśmy ze trzy godziny. Zdawało mi się, że niedługo powinien się być zacząć brzask. Nagle usłyszeliśmy nad głowami krakanie i szum skrzydeł. Było jeszcze ciemno i nie mogłem nic dojrzeć; ale byłem pewien, że to orły poczynają krążyć nad przepaścią. „Kra! kra!” rozlegało się coraz silniej w górze i w ciemności. Dziwiło mnie, że słysząc tak dużo tych głosów, jakby przelatowały całe legiony orłów. Ale bądź co bądź, zwiastowały one dzień. Jakoś po niejakiem czasie dojrzałem swoje ręce, oparte o brzeg skalisty; potem zarysowały się przedemną plecy Świąteckiego, zupełnie jak czarna sylwetka na cokolwiek mniej czarnem tle. Tło owo bladło z każdą chwilą. Coraz się robiło widniej. Patrzę, staram się zapamiętać te zmiany tonu i potroszę w duszy maluje, gdy nagle przerywa mi okrzyk Świąteckiego:

— Tfy! głupcy! I plecy jego giną mi z oczu.

— Świątecki! — krzyknę — co robisz?

— Nie wrzeszcz! — powiada — patrz!

— Pochyliam się, spoglądam, cóż się pokazuje? Oto siedzę na skalistym zrębie, zapuszczającym się w łąkę, która leży może o półtora łokcia poniżej. Mchy głużyły odgłos kamieni, bo zresztą łąka jest równiutka; w dali widać drogę, na niej wrony, które poczytałem za orły. Potrzebowaliśmy tylko nogi spuścić ze zrębu, ażeby pójść najspokojniej do domu. Tymczasem przesiedzieliśmy na zrębie, szczękając zębami, całą Bożą noc...

Henryk Sienkiewicz.

Katarynka.

Żaden śmiertelnik nie jest wolny od jakiegoś dziwactwa, a pan Tomasz miał także swoje. Oto — nienawidził kataryniarzy i katarynek. Gdy usłyszał na ulicy katarynkę, przyspieszał kroku i na parę godzin tracił humor. On, człowiek spokojny, zapalał się; jak był cichy, krzyczał, a jak był łagodny, wpadał w gniew na pierwszy odgłos katarynkowych dźwięków. Pan Tomasz był mecenasem. Dom, w którym mieszkał, przechodził kilka razy z rąk do rąk. Rozumie się, że każdy nowy właściciel uważał za obowiązek podwyższać wszystkim komorne, a najpierwej panu Tomaszowi. Mecenas z rezygnacją płacił podwyżkę, ale pod tym warunkiem, wyraźnie zapisanym w umowie, że katarynki w domu grywać nie będą. Nieależnie od kontraktowych zastrzeżeń pan Tomasz wzywał każdego nowego dozorcę i przeprowadzał z nim taką mniej więcej rozmowę.

— „Słuchajno kochanku... A jak ci na imię?”

„Kazimierz, proszę pana.”

„Słuchajże Kazimierzu! Ile razy wrócę do domu późno, a ty otworzysz mi bramę, dostaniesz dwadzieścia groszy. Rozumiesz...?”

„Rozumiem, wielmożny panie.”

„A oprócz tego będziesz brał odemnie dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz za co?”

„Nie mogę wiedzieć, jaśnie panie” — odpowiedział wzruszony stróż.

— „Za to, ażebyś na podwórze nigdy nie puszczał katarynek.”

„Rozumiem, jaśnie wielmożny panie.” Z drugiej strony podwórza, wprost okien pana Tomasza, znajdował się lokal, wynajmowany osobom mniej zamożnym. Długi czas mieszkał tu stary urzędnik sądowy, który spadłszy z etatu, przeniósł się na Pragę. Po nim najął pokoiki krawiec; lecz ten, że lubił niekiedy upijać się i hałasować, więc wymówiono mu mieszkanie. Później sprowadziła się tu jakaś emerytka, wiecznie kłócąca się ze swoją sługą. Ale od św. Jana staruszkę, już bardzo zgrzybiałą i wcale

zasobną, pomimo jej kłótliwego usposobienia wzięli na wieś krewni, a do lokalu sprowadziły się dwie panie, z małą, może ośmioletnią dziewczynką. Kobiety utrzymywały się z pracy. Jedna szyła, druga wyrabiała pończochy i kaftaniki na maszynie. Młodszą z nich i przystojniejszą dziewczynka nazywała mamą, a starszej mówiła pani. I u mecenasa i u nowych lokatorów okna przez cały dzień były otwarte. Kiedy więc pan Tomasz usiadł w swoim fotelu, doskonale mógł widzieć, co się dzieje u jego sąsiadek. Były tam sprzęty ubogie. Na stołach i krzesłach, na kanapie i na komodzie leżały tkaniny, przeznaczone do szycia, i kłębki bawełny na pończochy. Z rana kobiety same zamykały mieszkanie, a około południa najemnica przynosiła im niezbyt obfity obiad. Zresztą każda z nich prawie nie odstępowała od swojej turkocającej maszyny. Dziewczynka zwykle siedziała przy oknie. Było to dziecko z ciemnymi włosami i ładną twarzą, ale blade i jakieś nieruchawe. Czasami dziewczynka zapomocą dwu drutów wiązała pasek z bawełnianych nici. Niekiedy bawiła się lalką, którą ubierała i rozbierała powoli, jakby z trudnością. Czasami nie robiła nic, tylko siedząc w oknie, przysłuchiwała się czemuś. Pan Tomasz nie widział nigdy, ażeby to dziecko co śpiewało lub biegało po pokoju, nie widział nawet uśmiechu na bledziutkich ustach i nieruchomej twarzy.

— „Dziwne dziecko!“ — mówił do siebie mecenas i począł przypatrywać się jej uważniej. Spostrzegł raz (było to w niedzielę), że matka dała jej mały bukiet. Dziewczynka ożywiła się nieco. Rozkładała i układała kwiaty, całowała je. W końcu związała napowrót bukiet, włożyła go w szklankę wody i usiadłszy w swoim oknie, rzekła: — „Prawda, mam, że to jest smutno.“ Mecenas zgorszył się. Jak mogło być smutno w domu, w którym on od tylu lat miał dobry humor! Jednego dnia mecenas znalazł się w swoim gabinecie około czwartej. W tej godzinie słońce stało naprzeciw mieszkania jego sąsiadek, a świeciło i dogrzewało bardzo mocno. Pan Tomasz spojrzął na drugą stronę podwórza, i widać zobaczył coś niezwykłego, gdyż z pośpiechem założył na nos binokle. Oto co spostrzegł. Mizerna dziewczynka, wsparłszy głowę na rękę, położyła się prawie na znak w swoim oknie i szeroko otwartymi oczyma patrzyła prosto w słońce. Na jej twarzyczce, zwykle tak nieruchomej, grały teraz jakieś uczucia: niby radość, a niby żal...

„Ona nie widzi!“ — szepnął mecenas, opuszczając binokle. W tej chwili doświadczył klócia w oczach na samą myśl, że ktoś może wpatrywać się w słońce, które siało żywym ogniem. Zdarzyło się w tych czasach, że jeden z przyjaciół mecenasa miał proces i jak zwykle, oddał mu do przejrzenia papiery z prośbą o radę. Wprawdzie pan Tomsz nie stawał już w sądach, ale jako doświadczony praktyk, umiał wskazać najważniejszy kierunek akcji i wybranemu przez siebie adwokatowi udzielał pożytecznych objaśnień. Sprawa obecna była zawikłana. Pan Tomasz, im więcej

wczytywał się w papiery, tem bardziej zapalał się. W emerycie ocknął się odwokat. Nie wychodził już z mieszkania, nie sprawdzał, czy starto kurz w salonach, tylko zamknięty w swoim gabinecie, czytał dokumenty i notował. Na drugi dzień pan Tomasz jeszcze siedział nad aktami; około drugiej zjadł obiad i znowu siedział. Matka ociemniałej i jej współpracownica, robiąca pończochy na maszynie, podziwiała mecenasa i mówiły, że wygląda na czerstwego wdowca, który ma zwyczaj od rana do wieczora drzeć nad biurkiem. Tymczasem mecenas, choć przymykał oczy, nie drzemał wcale, tylko rozmyślał nad sprawą. Gdy tak mecenas nurzał się w powikłanych kombinacjach, zdarzył się dziwny, trudny do pojęcia wypadek. Na podwórzu pod samym oknem pana Tomasza, odezwała się — katarzynka!... I żeby to przynajmniej była katarynka włoska, z przyjemnymi tonami fletowymi, dobrze zbudowana, grająca ładne kawałki! Gdzie tam! Jakby na większą szykanę katarynka była popsuta, grała fałszywie ordynaryjne walce i polki, a tak głośno, że szyby drżały. Na domiar złego, trąba, niekiedy się w niej odzywająca, ryczała, jak wściekłe zwierzę. Wrażenie było potężne. Mecenas osłupiał. Nie wiedział, co myśleć i co począć. Chwilami gotów był przypuścić, że przy odczytywaniu pośmiertnych rozporządzeń chorego na umysł obywatela X... po którym miał ów przyjaciel dziedziczyć, jemu samemu pomieszało się w głowie i że uległ halucynacyom. Ale nie, to nie były halucynacye. To była rzeczywista katarynka, z popsutemi piszczałkami i bardzo głośną trąbą! W sercu mecenasa, tego wyrozumiałego, tego łagodnego człowieka zbudziły się dzikie instynkty. Uczuł żal do natury, że go nie stworzyła królem dahomejskim, który ma prawo zabijać swoich poddanych i pomyślał, z jaką rozkoszą położyłby w tej chwili kataryniarza trupem. A ponieważ u ludzi tego temperamentu, co pan Tomasz, bardzo łatwo w gniewnym uniesieniu przechodzi się od zuchwałych projektów do najstraszniejszych czynów, więc mecenas skoczył, jak tygrys, do okna i postanowił — zwymyślać kataryniarza najgorszymi wyrazami. Już wychylił się i otworzył usta, aby krzyknąć: „Ty próżniaku jakiś!“, gdy wtem usłyszał dziecięcy głos. Spojrzał naprzeciwko. Mała, niewidoma dziewczynka tańczyła po pokoju, klaszcząc w ręce. Błada jej twarz zarumienila się, usta śmiały się, a pomimo to z zastygłych oczu płynęły łzy, jak grad. Ona, biedactwo, w tym domu spokojnym, dawno już nie doświadczyła tyłu wrażeń! Jak pięknym zjawiskiem wydawały się jej fałszywe tony katarynki! Jak wspaniałym był ryk trąby, która mecenasa o mało nie przyprawiła o apopleksję. Na dobitkę, kataryniarz, widząc uciechę dziecka, zaczął przylupywać wielkim obcasem w bruk i pogwizdywać, niby lokomotywa przed spotkaniem się pociągów. „Boże! jak on ślicznie gwizdał...“ Do gabinetu mecenasa wpadł wierny lokaj, ciągnąc za sobą stróża i wołając:

„Ja mówiłem temu gałganowi, jasnie panie, żeby natychmiast wygnał kataryniarza: Mówiłem, że od jasnie pana dostanie

pensyę, że my mamy kontrakt! Ale ten cham! Tydzień temu przyjechał ze wsi i nie zna naszych obyczajów. No, teraz posłuchaj, — krzyczał lokaj, targając za ramię oszołomionego stróża, — posłuchaj, co ci sam jaśnie pan mecenas powie! Kataryniarz grał już trzecią sztuczkę, tak fałszywie i wrzaskliwie, jak dwie pierwsze. Niewidoma dziewczynka była upojona. Mecenasa odwrócił się do stróża i rzekł ze zwykłą sobie flegmą, choć był był trochę błądy.

„Słuchajno, kochanku. A jak ci na imię?”

— „Paweł, jaśnie panie.”

— „Otóż mój Pawle, będę ci płacił dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz za co?”

— „Za to, ażebyś na podwórzu nigdy nie puszczał katarynek!” — wtrącił śpiesznie lokaj.

„Nie, — rzekł pan Tomasz, — za to, ażebyś przez jakiś czas codziennie puszczał katarynki. Rozumiesz?”

— „Co pan mówi?” — zawołał służący, którego nagle roz-zuchwalał ten niepojęty rozkaz.

— „Ażeby, dopóki się z nim nie rozmówię, puszczał codzień katarynki na podwórzu,” — powtórzył mecenas, wsadzając ręce w kieszenie.

„Nie rozumiem pana!” — odezwał się służący z oznakami obrażającego zdziwienia.

— „Głupis, mój kochany!” — rzekł mu dobroliwie pan Tomasz.

„No, idźcie do roboty”, dodał. Lokaj i stróż wyszli, a mecenas spostrzegł, że jego wierny sługa coś towarzyszowi swemu szepcze do ucha i pokazuje palcem na czoło. Pan Tomasz uśmiechnął się i jakby dla stwierdzenia ponurych domysłów famulusa, wyrzucił katarynce dziesiątkę. Następnie wziął kalendarz, wyszukał w nim listę lekarzy i zapisał na kartce adresy kilku okulistów. A że kataryniarz odwrócił się teraz do jego okna i za jego dziesiątkę począł przytupywać i wygwizdywać jeszcze głośniejsze, co już okrutnie drażniło mecenasa, więc zabrawszy kartkę z adresami doktorów, wyszedł mrucząc: „Biedne dziecko!... Powinieniem być zająć się nim oddawna.”

Dziad i baba.

Był sobie dziad i baba,

Bardzo starzy oboje:

Ona kaszląca, słaba,

On skurczony we dwoje.

Mieli chatkę małą;

Taką starą, jak oni:

Jedno miała okienko

Jedno miała okienko
Jeden był wchód do niej.
Żyli bardzo szczęśliwie
I spokojnie jak w niebie,
Czemu ja się nie dziwię,
Bo przywykli do siebie.
Tylko smutno im było,
Że umierać musieli,
Że się kiedyś moglią
Długie życie rozdzieli.
I modlili się szczerze,
Aby Bożym rozkazem,
Kiedy śmiec ich zabierze,
Brała oboje razem.
„Razem! to być nie może;
Ktoś choć chwilę wprzód skona.“
„Byle nie ty, nieboże!“
„Byle tylko nie ona!“
„Wprzód umrę, — woła baba —
Jestem starsza od ciebie,
Co chwila bardziej słaba.
Zapłaczesz na pogrzebie.“
— „Ja wprzód, moja miła,
Ja kaszlę bez ustanku
I zimna mnie mogiła
Pokryje lada ranku.“
„Mnie wprzód — mnie kochanie!“
„Mnie, mówię. — Dośćże tego! —
Dla ciebie płacz zostanie.“
„A tobie nie? dlaczego?“
I tak dalej i dalej,
Jak zaczęli się kłócić,
Tak się z miejsca porwali,
Chatkę chcieli porzucić. —
Aż drzwi — puk! powoli...
„Kto tam?“ — „Otwórzcie, proszę;
Posłuszna waszej woli,
Śmierć jestem, skon przynoszę“
— „Idź, babo, drzwi otworzyć!“
— „Ot to! idź sam! ja słaba,
Ja pójde się położyć.“ —
Odpowiedziała baba.
„Fi! śmierć na słocie stoi
I czeka tam nieboga!
Idź, otwórz z łaski swojej!“ —
Baba za piecem z cicha
Kryjówki sobie szuka;
Dziad pod ławę się wpycha

A śmierć stoi i puka.
— I byłaby lat dwadzieścia
Pode drzwiami tam stała,
Lecz znudzona nareszcie
Kominem wleźć musiała.

Kraszewski.

Śniadanie.

W cichym i samotnym domie

Wszczął się naprzód szum, potem gwar i krzyk wesóły,
Jak w ulu pustym, kiedy węń wlatują, pszczoły.
Był to znak, że wracali goście z polowania
I krzątała się służba około śniadania.

Jakoż po wszystkich izbach panował ruch wielki:
Roznoszono potrawy, sztucce i butelki.
Mężczyźni tak jak weszli, w swych zielonych strojach,
Z talerzami, szklankami chodząc po pokojach,
Jedli, pili lub wsparci na okien uszakach
Rozprawiali o flintach, chartach i szarakach
Podkomorstwo i Sędzia przy stole — a w kątku
Panny szeptały z sobą. Nie było porządku,
Jaki się przy obiadach i wieczernych chowa;
Była to w staropolskim domu moda nowa:
Przy śniadaniach Sędzia, choć nierad pozwalał
Na taki nieporządek, lecz go nie pochwalał.

Różne też były dla dam i mężczyzn potrawy:
Tu roznoszono tace z całą służbą kawy,
Tace ogromne, w kwiaty ślicznie malowane,
Na nich kurzące wonne imbryki blaszane,
I porcelany saskiej złote filiżanki:
Przy każdej garnuszek mały do śmietanki.
Takiej kawy jak w Polsce niema w żadnym kraju.
W Polsce, w domu porządnym, z dawnego zwyczaju
Jest do robienia kawy osobna niewiasta. —
Nazywa się kawiarka; ta sprowadza z miasta
Lub z wicin bierze ziarna w najlepszym gatunku
I zna tajne sposoby gotowania trunku,
Który ma czarność węgla, przejrzystość bursztynu
Zapach mokki i gęstość miodowego płynu.
Wiadomo, czem dla kawy jest dobra śmietana:
Na wsi nie trudno o nią; bo kawiarka zrana,
Przystawiwszy imbryki, odwiedza mleczarnie

I sama lekko świeży nabiału kwiat garnie
Do każdej filiżanki w osobny garnuszek,
Aby każdą z nich ubrać w osobny kożuszek.
Panie starsze już wcześniej wstawszy piły kawę
Teraz drugą zrobiły potrawę
Z gorącego, śmietaną hielonego piwa,
W którym twaróg gruzłami posiekany pływa.

Zaś dla mężczyzn wędliny leżą do wyboru;
Pół gęski tłuste, kunysie, skrzydliki ozoru,
Wszystkie wyborne, wszystkie sposobem domowym
Uwędzone w kominie dymem jałonkowym.
W końcu wniesiono zrazy na ostatnie danie —
Takie bywało w dmu Sędziego śniadanie.

A. Mickiewicz.

Przyjaciele.

Niemasz teraz prawdziwej przyjaźni na świecie,
Ostatni znam jej przykład w oszmiańskim powiecie
Tam żył Mieszek, kum Leszka, i kum Mieszka, Leszek,
Z tych, coto: „gdzie ty, tam ja, co moje, to twoje.”
Mówiono o nich, że gdy znaleźli orzeszek,
Ziarnko dzielili na dwoje;
Słowem, tacy przyjaciele,
Jakich i wtenczas liczono niewiele;
Rzekłbyś: dwój-duch w jednym ciecie.
O tej swojej przyjaźni raz w cieniu dąbrowy
Kiedy gadali, łącząc swoje czułe mowy
Do kukań zazul i krakań gawronich,
Alic ryknęło raptem coś koło nich,
Leszek na dąb; nuż po pniu skakać jak dzieciótek.
Mieszek tej sztuki nie umie,
Tylko wyciąga z dołu ręce: „Kumie!”
Kum już wyszł na wierzchołek
Ledwie Mieszkowi był czas zmrużyć oczy,
Zblednąć, paść na twarz; a już niedźwiedź kroczy,
Trafia na czoło, maca — jak trup leży!
Wnosi, że to nieboszczyk i że już nie świeży.
Więc mruknawszy, ze wzgardą odwraca się w knieje,
Bo niedźwiedź — Litwin mięs nieświeżych nie je.
Dopiero Mieszek odżył. — „Było z tobą krucho!
Ale co on tak długo tam nad tobą sapał.
Jak gdyby coś miał powiadać na ucho?”

„Powiedział mi — rzekł Mieszek — przysłowie niedźwiedzie,
Że prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie.“

A. Mickiewicz.

Osieł i Jacek.

Biedził się Jacek od dobrej godziny,
Nie mógł osłowi poradzić:
Nie wiedzieć z jakiej przyczyny
Nie dał się przez most prowadzić.

„Nie pójde! — rzecze — dość tych dziwactw znoszę,
Męcę się, niszczę i już ledwie łażę;
Ja mam biedz naprzód? i dlaczego, proszę?
Wielka przyczyna, że Jacek tak każe!“ —

Jacek tymczasem na nowo go zmusza,
Ciagnie za uszy, drągiem, kijem ćwiczy;
Osieł nie tylko, że naprzód nie rusza,
Jeszcze się cofa i ryczy.

„Niechże cię wreszcie jasny piorun trzaśnie!“
Gniwny Jacek wrzaśnie;
„Nic ja tu z tobą nie zrobię.“

Gdy mu wtem nagle błysnie myśl szczęśliwa;
Biegnie w tył, osła za ogon porywa
I silnie ciągnie ku sobie.
„Ho! ho! rozumiem! Jacek plan swój zmienia!“ —
Domyślny osieł zawoła;
„Widząc, że naprzód znaglić mnie nie zdoła,
Chce mnie zmusić do cofnienia.
Otóż nie zmusi; w tej chwili zobaczy,
Co to osieł znaczy.“
Rzekłszy to, jakby sparzony ukropem,
Mwśląc, że cudów dokona,
Zrywa się, rusza i przez most galopem
Leci z Jackiem u ogona.

Są i wśród ludzi istoty tak dziwne,
Sprzeczne, przekorne, jakby krnąbrne dzieci;
Lecz udaj zdanie twojemu przeciwnie,
A osieł przez most polecą.

Powrót taty.

„Pójdźcie o dziatki! pójdźcie wszystkie razem,
Za miasto, pod słupek, na wzgórek;
Tam przed cudnym kłękniście obrazem,
Pobożnie zmówcie paciorek.“

„Tato nie wraca; ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze;
Rozlały rzeki, pełne zwierza bory
I pełno zbójców na drodze.“

Słyszac to dziatki, biegnę wszystkie razem
Za miasto, pod słupek, na wzgórek;
Tam przed cudownym kłękają obrazem
I zaczynają paciorek.

Całują ziemię, potem: „W imię Ojca,
Syna i Ducha świętego,
Bądź pochwalona przenajświętsza Trójca
Teraz i czasu wszelkiego.“

Potem: Ojcie nasz i Zdrowaś i Wierzę,
Dziesięcioro i koronki;
A kiedy całe zmówiły pacierze,
Wyjmą książeczki z kieszonki.

I litanię do Najświętszej Matki
Starszy brat śpiewa, a za bratem:
„Najświętsza matko! — przyspiewują dziatki —
Zmiłuj się, zmiłuj nad tatą!“

Wtem słycać turkot. Wozy jadą drogą
I wóz znajomy na przedzie;
Skoczyły dzieci i krzyczą jak mogą:
„Tato! ach tato nasz jedzie!“

Obaczył kupiec łzy radosne leje,
Z wozu na ziemię wylata:
„Ha! jak się macie? co się u was dzieje?
Czyście tęskniły do taty?“

Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?
A ot rodzynki w koszyku!“

Ten sobie mówi i ten sobie mówi,
Pełno radości i krzyku.

„Ruszajcie!” — kupiec na sługi zawoła
Ja z dziećmi pójdę ku miastu!
Idzie — aż zbójcy obskoczą dokoła,
A zbójców było dwunastu.

Brody ich długie, kręcone wąsiska,
Wzrok dziki, suknia plugawa,
Noże za pasem, miecz u boku błyska,
W rękę ogromna buława.

Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,
Tulą się pod płaszcz na łonie;
Truchleją sługi, struchlał pan wyblady,
Drżące ku zbójcom wzniosł dłonie:

„Ach bierzcie wozy, ach! bierzcie dostatek,
Tylko puszczajcie nas zdrowo;
Nie róbcie małych sierotami dziątek
I młodej małżonki wdową!”

Nie słucha zgraja. Ten już wóz wyprzega,
Zabiera konie, a drugi:
„Pieniędzy!” krzyczy i buławą sięga;
Ow z mieczem wpada na sługi.

Wtem: „Stójcie! stójcie!” krzyknie starszy zbójca
I spędza bandę precz z drogi;
A wypuściwszy i dzieci i ojca,
„Idźcie — rzekł — dalej bez trwogi.”

Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:
„Nie dziękuj: wyznam ci szczerze,
Pierwszybyś pałkę strzaskał na twój głowie,
Gdyby nie dziątek pacierze.”

„Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało,
Darzą cię życiem i zdrowiem;
I więc podziękuj za to, co się stało,
A jak się stało opowiem:

Z dawna już słysząc o przyjeździe kupca
I ja i moje kamraty,

Tutaj za miastem przy wzgórku, u słupa
Zasiadaliśmy na czaty.

Dzisiaj nadchodzę, patrzę między chrósty :
Modlą się dziatki do Boga :
Słucham — z początku porwał mię śmiech pusty,
A potem litość i trwoga.

Słucham — ojczyste przyszły na myśl strony,
Buława upadła z ręki —
Ach ! ja mam żonę i u mojej żony
Jest synek taki maleńki.

Kupcze ! jedź w miasto, ja do lasu muszę ;
Wy, dziatki, na ten pagórek
Biegajcie sobie i za moją duszę
Zmówcie też czasem paciorek.“



Tutaj za miastem przy wjeździe do świątyni
Książęstwu na cześć

Wielki natchniony, patrzył na ten cudowny świat
Miała się dzielić do Boga
Stucham — z powagą powołaj się świątyni gości
A potem łoskot i trwoga

Stucham — odczytuje księgę, na mój świątyni
Wielka upadła z ręki —
Ach! ja mam żonę i w mojej żonie
Jest synek taki miłośnik

Kłopot i żal w miasto, ja do jasn. miast
Wydzielił na ten świat
Biegajcie sobie i za moją duszę
Kłopot i żal w miasto, ja do jasn. miast



Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000746017



II 25464

SL